Nr. 48 Rok 5 Kraków, dnia 26 listopada 194[illegible] 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



UROCZYSTOŚĆ DOŻYNEK NA ZAMKU KRAKOWSKIM

Delegacja rolników polskich wręcza Generalnemu Gubernatorowi Dr Frankowi wieniec dożynkowy.
(Do naszego reportażu wewnątrz numeru).

„PUNKTUALNIE O 24 GODZINIE"

NIEMIECKIE MIOTACZE GRANATÓW W WALCE NA WSCHODNIM FRONCIE





Na lewo:
Na placówce pada rozkaz: „Punktualnie o 24 godzinie rozpocząć kanonadę!"

Powyżej:
Tuż poza pierwszą linią frontu ustawia się miotacze granatów, które wezmą udział w nocnym ataku na sowieckie pozycje. Każdy pocisk waży 250 kilogramów.

Poniżej:
Żołnierze porównują po raz ostatni zegarki, by dokładnie co do sekundy rozpocząć atak w oznaczonym czasie.



Wieczorem montuje się aparaturę miotaczy i przysposabia do strzału.



Fot: SS. PK-Grönert



Punktualnie o 24 godzinie rozpoczął się wyniszczający ogień huraganowy ciężkich granatów skierowany na linie nieprzyjacielskie. Noc jest jasna jak dzień od wystrzałów. Bez przerwy słychać w y c i e przelatujących pocisków.

UROCZYSTOŚĆ DOŻYNEK NA ZAMKU KRAKOWSKIM



Na lewo: Delegacja wieśniaków i wieśniaczek z różnych okolic Generalnego Gubernatorstwa w drodze na Zamek.

W kole: Generalny Gubernator Dr Frank przemawia do delegatów.

Powyżej: Wieśniacy i wieśniaczki zebrani w sali królewskiej słuchają mowy Generalnego Gubernatora.

Poniżej: Jeden z delegatów dziękuje Generalnemu Gubernatorowi za zaproszenie na Zamek.



Fot. Borek



Poniżej: Delegacja rolników polskich nad trumną ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego.



W barwnych strojach ludowych, przy dźwiękach orkiestry w ubiorach Krakusów, zgromadzili się na Zamku, w jednej ze sal królewskich, delegaci z różnych stron Generalnego Gubernatorstwa, jako to z okolic Krakowa, z Kielecczyzny, z Radomia, z Sącza, z Sochaczewskiego itd. — by już niejako tradycyjnie złożyć doktorowi Frankowi Gener. Gubernatorowi jako Gospodarzowi Dożynek dary ziemi.

Przewodniczący Główn. Wydz. Wyżywienia i Rolnictwa Rządu GG Naumann, zainaugurował uroczystość krótką przemową na temat przeglądu prac związanych z rolą w bieżącym roku, zaznaczając, że tak ważna akcja odstaw kontyngentów po większej części jest na ukończeniu.

Gen. Gubernator wskazał w odpowiedzi na szczególnie trudne warunki pracy w bieżącym roku, wojna bowiem głęboko zapadła w życie i codzienny trud ludności,

Pomimo tego — dobra wola i obowiązkowość zdały egzamin w całej rozciągłości i znaczeniu tego słowa, dowodem czego są zebrane żniwa, zwiezione płody i owoce twardych zabiegów wieśniaczych rąk,

Błogosławieństwo Boże spoczywa zawsze na takiej pracy, a ludzie, oddani jej głęboko i bez reszty zbrojni są w ukochanie swej ojcowizny i odporni na podżegawcze szepty wyzutych z zasad sumienności i moralności polityków.

Obecna chwila ma olbrzymie znaczenie właśnie dla wieśniaczego stanu całej Europy. Przykład Bałkanów, Finlandii, Krajów bałtyckich, Włoch i Francji wskazuje jaskrawo na to, że w Europie zatriumfowałaby tylko jedna brutalna i bezwzględna potęga — bolszewizm — gdyby armia niemiecka nie stawiała jej tak długo skutecznego i bohaterskiego oporu.

Bo w bolszewickim systemie nie ma miejsca na religijne związanie z własnym zagonem wieśniaczej rodziny, tam triumfuje tylko niewolnictwo w kołchozach.

Podziękowaniem za złożone dary i życzeniem błogosławieństwa Bożego w dalszej pracy jako też szczęścia w przyszłości dla wszystkich — zakończył Generalny Gubernator swe przemówienie.

Po wręczeniu przyniesionego na Zamek wieńca dożynkowego wyraził jeden z delegatów podziękowanie Gen. Gubernatorowi za zaproszenie na Zamek, oraz za pozwolenie zwiedzenia w ramach uroczystości Katedry z grobami królewskimi, dwóch wieszczów narodu Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego tudzież krypty Marszałka Piłsudskiego.

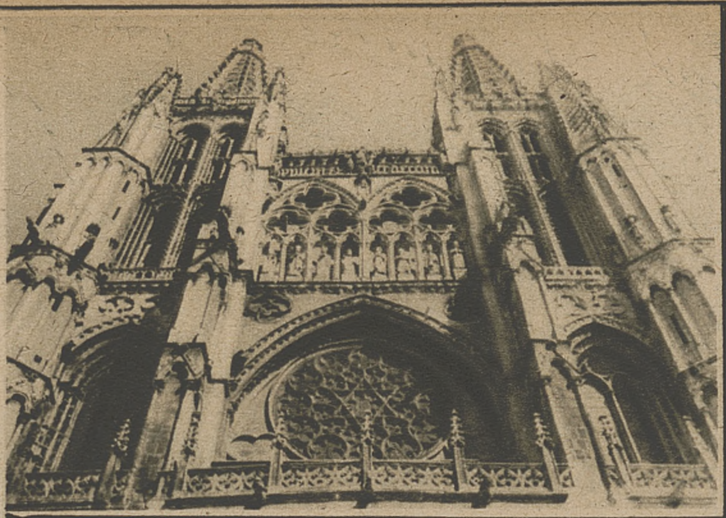
Na pożegnanie wręczono delegacji z ramienia Gen. Gubernatora podarki.

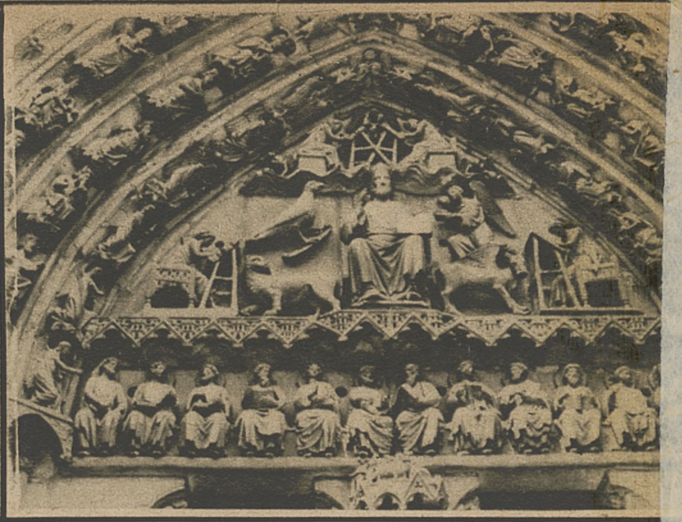
Dziękując za nie Generalnemu Gubernatorowi, rolnicy zapewnili Gospodarza, że praca ich będzie zawsze taką, jaką była dotychczas, że zostaną wierni swej ziemi, która pozwala im żyć.

Gdy przyjdzie wiosna, oracz polski znów zaprzęgnie konia do pługa i poprzecina jego lemieszem czarną ziemię, aby w bruzdy jej posypać garść zboża, które wyrośnie później bujnym morzem kłosów

Posiejemy, a gdy kłosy spęcznieją i przejdą w złotą barwę, zmielemy je na chleb!







Na lewo: Arco San Nicolas.

Na lewo: Charakterystyczny, stary wykusz, jeden z wielu w Hiszpanii.

Na lewo u dołu: Plastyczne rzeźby katedry w Burgos.

U dołu: Widok na Burgos z katedrą.

Stolica starokalijskiej prowincji Burgos, nosząca takież miano, wznosi się amfiteatralnie na brzegu rzeki Arlanzon.

Początki tej pierwotnej rezydencji książąt i królów Starej Kastylii sięgają IX stulecia, z których to czasów zachowały się jeszcze resztki obronnych murów miejskich z basztami. Tutaj przyszedł na świat hiszpański bohater narodowy, Cid.

Ponad budowlami Burgos góruje, z daleka już widoczna, sławna gotycka katedra ze swymi wyniosłymi wieżycami, z któryc dwie sięgają wysokości 84 metrów. Katedr jest dziełem budowniczego Jana z Koloni powstała około połowy XV wieku.

Niemymi świadkami zamierzchłej prze szłości Burgos są starodawne bramy, jak to słynna Arco de Santa Maria, wybudo wana w latach 1536—52, łuk de San Fermir oraz Arco de San Nicolas.

Na prawym brzegu Arlanzonu widniej Real Monasterio de las Huelgas, ongiś letni rezydencja i miejsce zabaw kastylskic królów, obecnie klasztor i zakład wycho wawczy Zgromadzenia Sióstr Cysterek.

Wieki przeszły ponad głazami murów i szczytami wieżyc Burgos. W promieniac słońca i srebrzystej poświacie miesiąca śn sen minionej wielkości, siedziba dawnyc władców Kastylii — odeszłych w cień prze szłości z prastarego grodu, który przetrwa do naszych czasów pełen romantyzm wspomnień i rycerskich tradycji dawn wybitych godzin.

U góry: Główna fasada katedry z wieżami.

U góry: Stara brama Arco Santa Maria.

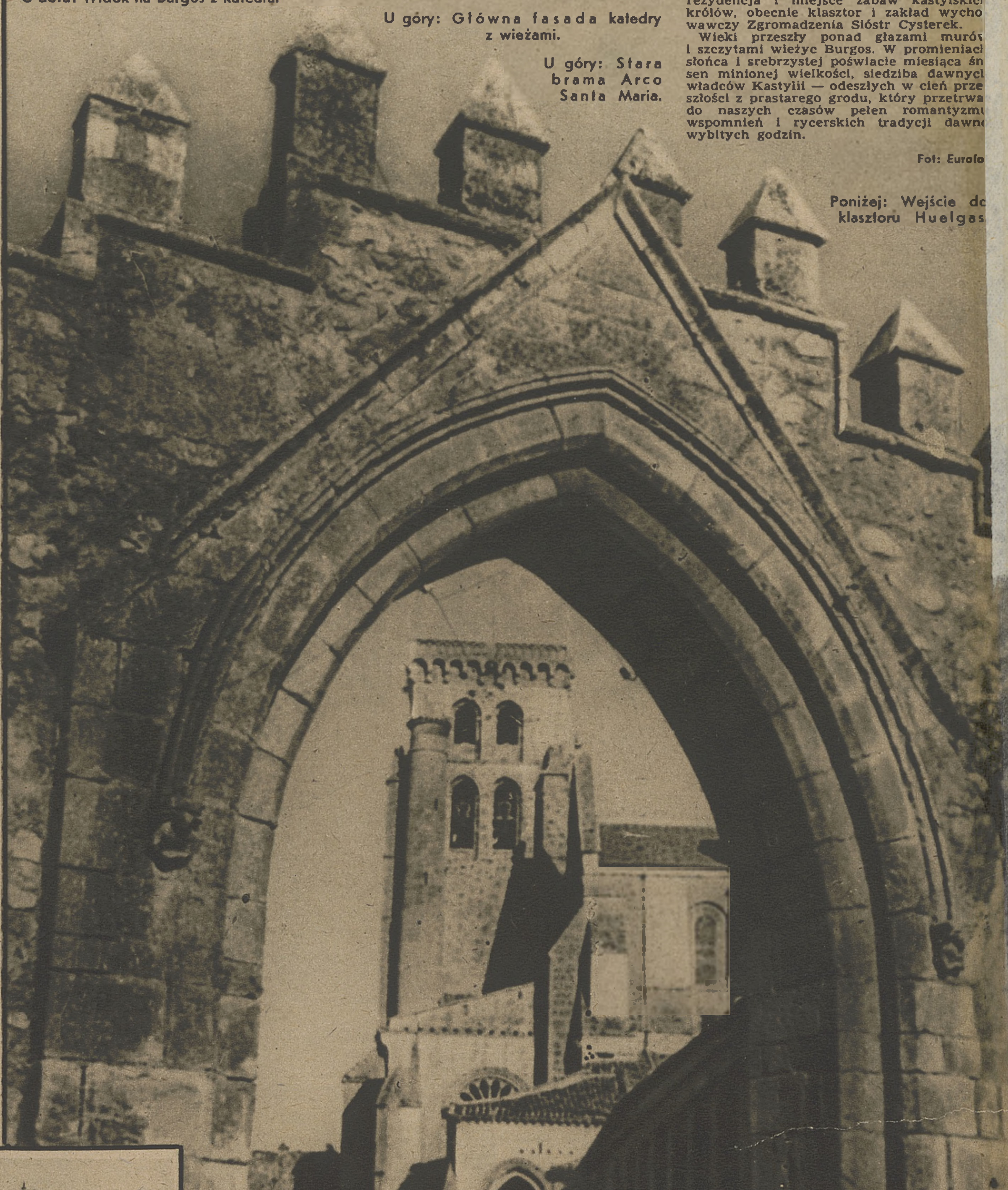
Fot: Eurofo

Poniżej: Wejście do klasztoru Huelgas



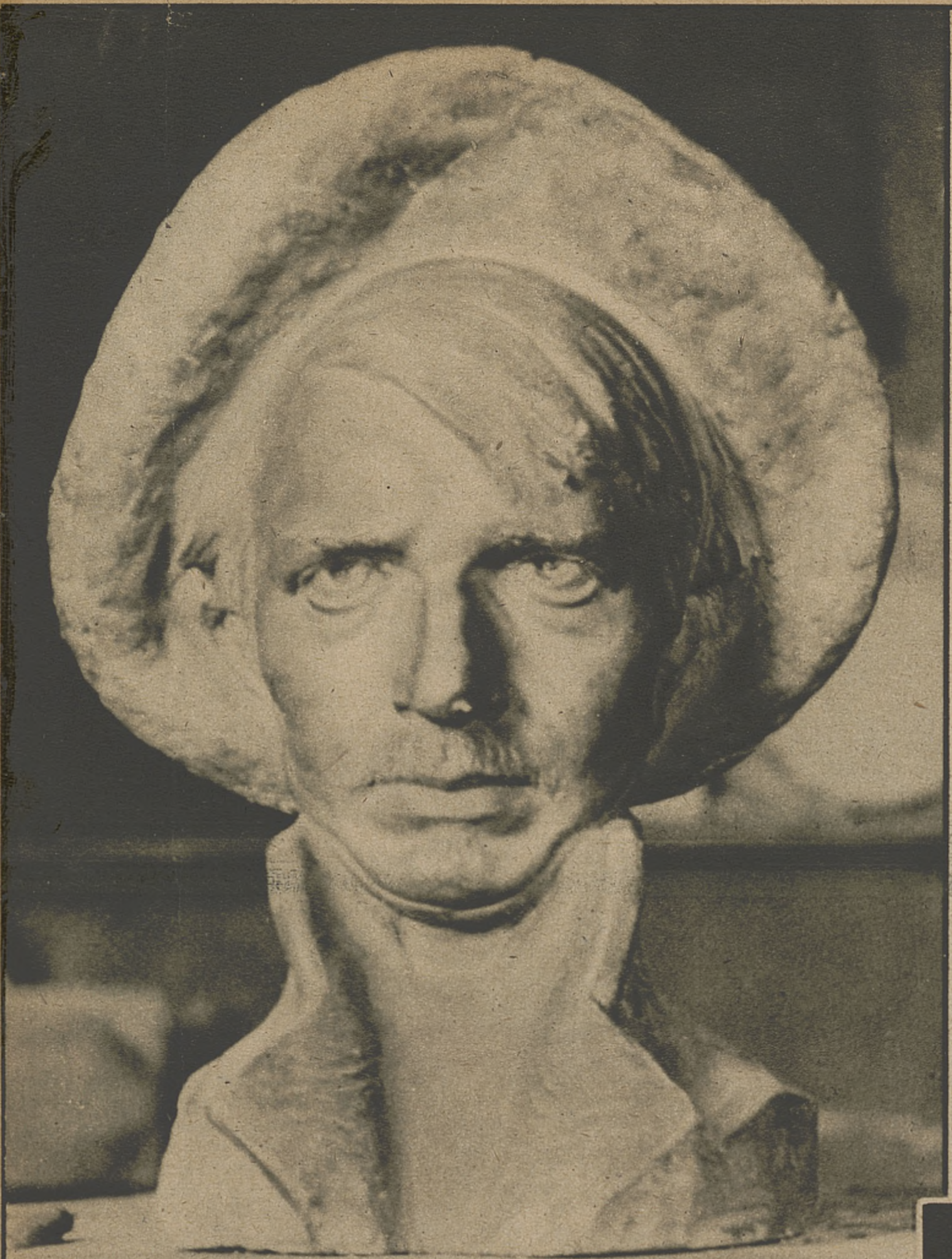






BURGOS

MISTRZ PRZY PRACY





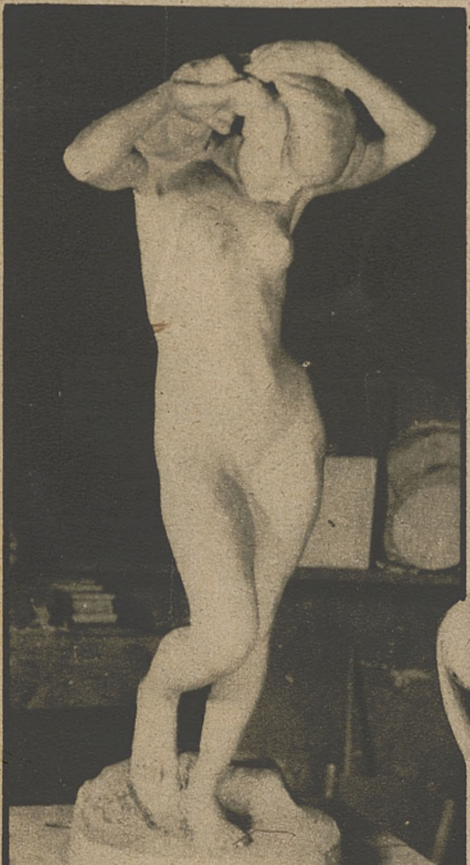
Powyżej:
WRĘCZENIE KLUCZY ŚW. PIOTROWI
rzeźba dla ołtarza kościoła w Zawierciu.

Na lewo:
AUTOPORTRET
z czasów paryskich.

Na prawo:
PORTRET DR R-IEJ
majolika.







Na prawo:
PORTRET CÓRKI ARTYSTY

Na lewo:
STUDIUM AKTU
gips.

Poniżej:
ZNICZ
z cyklu bogów słowiańskich.

Tekst i fot.: W. Walczak



Przy zacisznej uliczce Zbrojów, w Krakowie, kryje się pracownia Prof. Jana Raszki, jednego z najstarszych i najbardziej znanych polskich rzeźbiarzy. Już sień jego kamieniczki zwraca uwagę zdobiącymi ją alegorycznymi płaskorzeźbami i odlewami rzeźb. Sam ich twórca, przemiły postawny staruszek, po którego pełnych energii ruchach trudno wnioskować o 73-letnim wieku, jest ciągle czynny. Właśnie pochyla swą charakterystyczną głowę o wyrazistej twarzy nad wykańczaną w plastelinie plakietą. Ostatnie bowiem jego prace to szereg plakiet z wizerunkami znaczniejszych osobistości z kulturalnego i społecznego życia Krakowa. Utrwalenie rysów znanych ludzi postawił sobie Mistrz Raszka jako cel życia i rezultatem tego jest już bardzo duży dorobek plakiet i medalionów.

Zamiłowanie do plakiet, jak opowiada o sobie, jest wynikiem dziwnych kolei jego artystycznej kariery. Kiedyś, w gimnazjum cieszyńskim, mimo zamiłowania do rzeźby, nosił się z zamiarem wstąpienia na politechnikę. Dopiero przypadek, połączony z niemałym zaszczytem skierował go do wiedeńskiej akademii sztuki. Oto jako gimnazjalista rzeźbi z natury portret arcyksięcia Eugeniusza Habsburga. Rezultat, — moralna presja i młody Pan Raszka, absolwent gimnazjalny znajduje się w Wiedniu. Tu nowy drugi przypadek. Perypetie wstępnego egzaminu na akademię sprawiają, że zamiast na rzeźbie znalazł się na malarstwie. Nic to jednak. Dzielny młody sztukator doskonali się w malarstwie nie zaniedbując i rzeźby, którą następnie wyłącznie już studiuje. Z tego jednak pierwotnego połączenia obu gałęzi sztuki wynikła predyspozycja Pana Raszki jako doskonałego „plakieciarza" i artysty medalionowego, choć jak się okazało pomnikowe rzeźbiarstwo było i jest głównym polem jego działania.

W Wiedniu sam, własną pracą pnie się po szczeblach artystycznej kariery. W międzyczasie doskonali się w Paryżu i znów wraca do Wiednia już jako skończony artysta. Zaczynają się sypać zaszczyty. Cesarz Franciszek Józef pozuje mu do konnego portretu.

Dokończenie na stronie 10



PROF. RASZKA PRZY PRACY

MEDUZY – ŻYWE KWIATY

Ludzie mający styczność z życiem i pracą na morzu podziwiają niejednokrotnie osobliwe jego żyjątka i twory natury, pośród których szczególne zaciekawienie budziły zawsze i budzą dotąd, zwłaszcza u nowicjuszów żeglarskiego zawodu, galaretowate istoty, żegawnice, należące do gromady „jamochłonów” biorąc rzecz zoologicznie, zwane zaś z grecka meduzami, ze względu na swe podobieństwo do staromitologicznych wyobrażeń trzech potwornych głów bogiń, pokrytych miast włosów, wężami, wijącymi się na wszystkie strony.

Najczęściej spotykanymi w wodach mórz przyeuropejskich są żegawnice „uszne” albo „uchokształtne” (Aurelia aurita), przezwisko których poszło od kształtu gruczołów płciowych przebłyskujących poprzez delikatną strukturę wodnisto-galaretowatej masy ciała.

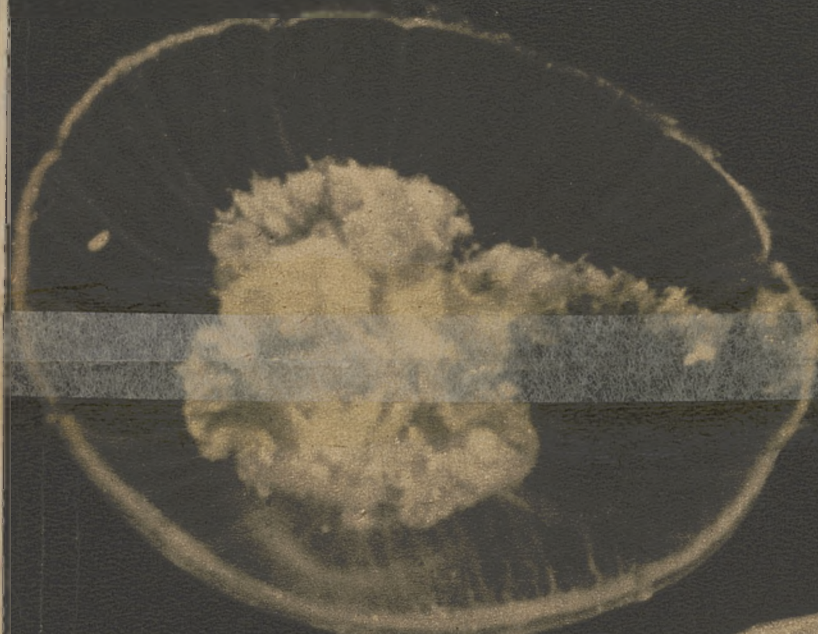
Zajmujące dane o życiu i rozwoju tych morskich żyjątek przynoszą nam badania i obserwacje dra Herberta Schmidt-Schaumburg z Berlina, z których też w niniejszym reportażu korzystamy. — Ruch postępowy meduzy wprzód powoduje nagłe wystrzykiwanie ku tyłowi wody, wyrzucanej ze skurczanego, by miech, ciała, jaśniej tłumacząc, z szybkiej przybranej pozycji np. zwijającego się jeża.

Odległość pozostawiana tym sposobem

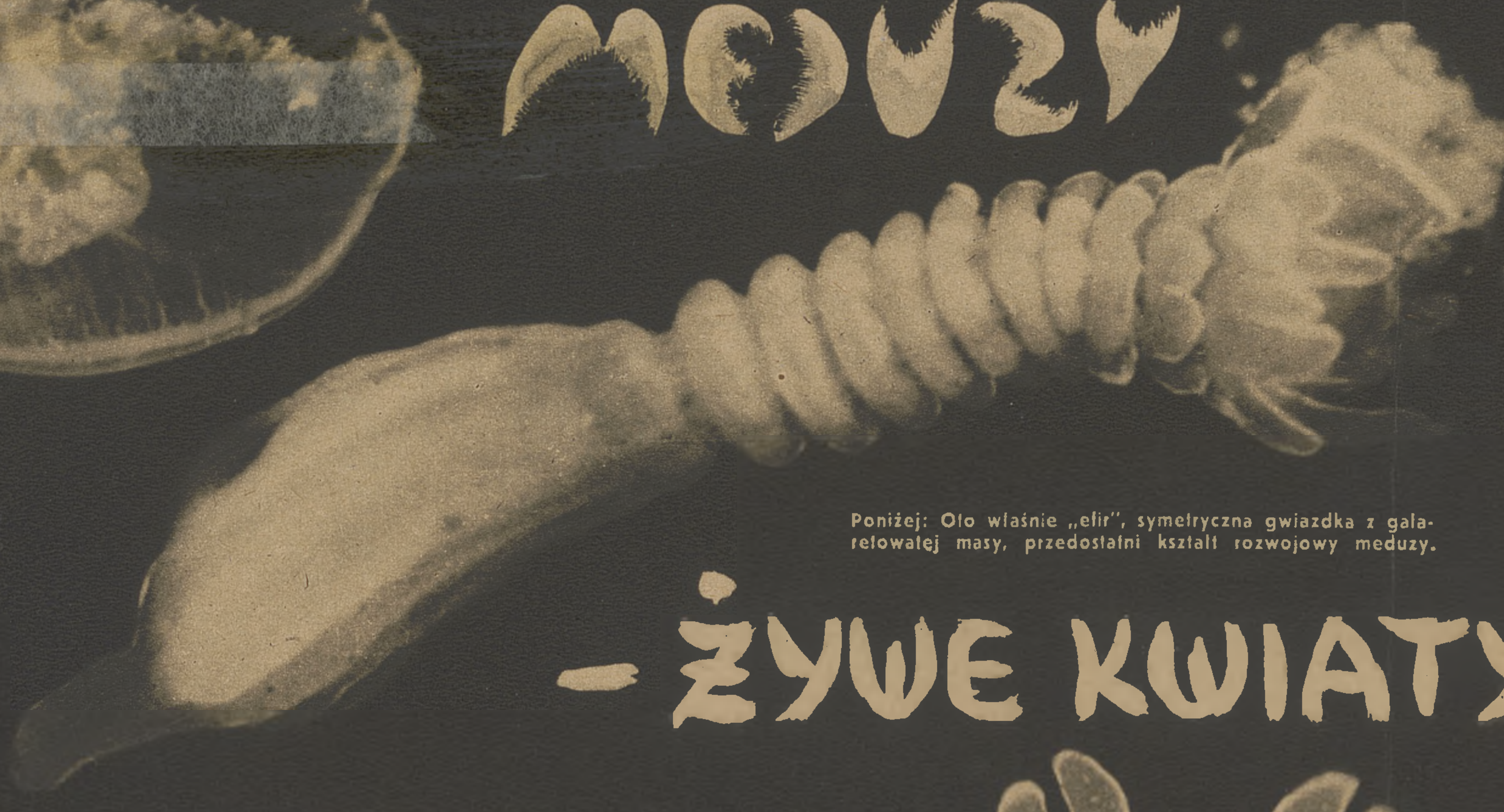
Dalszy ciąg na str. 10



Obok: COŚ, NIBY OKRĄGŁY STOLIK PRZYKRYTY OBRUSEM . . .
Jest to dorosła już i kompletnie upostaciowana meduza. Strzępki, zwisające po brzegach, to delikatne, nitkowate czułko-macki stworzenia, jej aparat nerwowy.



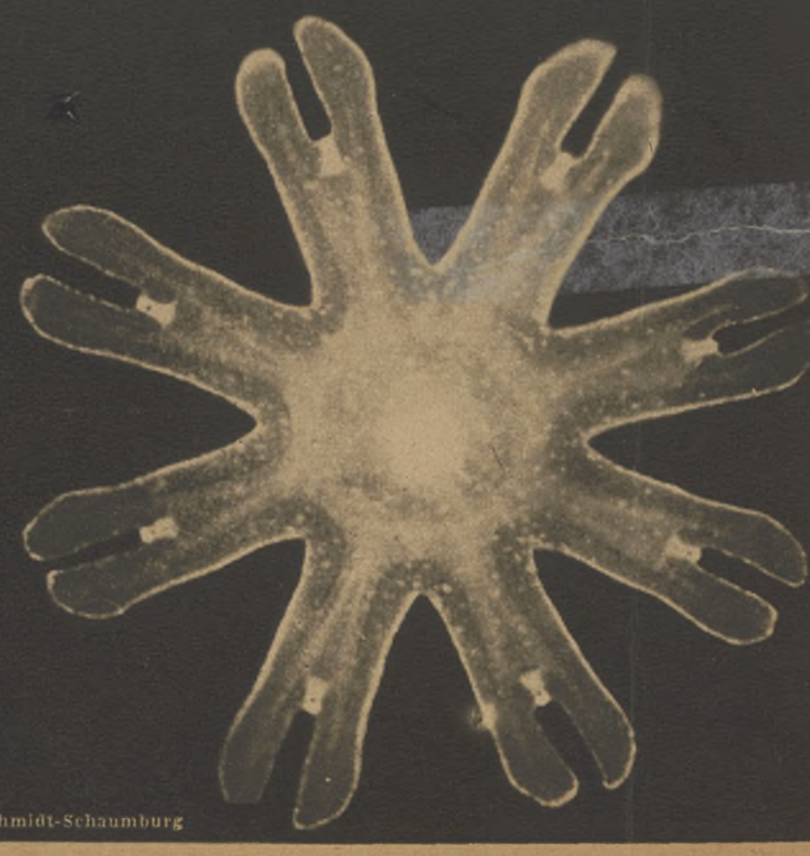
Na lewo: TALERZYKI Z DESEREM
Dojrzałe płciowo meduzy z jajami wewnątrz ciała, z których niebawem pocz nie się rozwijać znów nowe pokoleni dziwnych, galaretowatych żyjątek.



Poniżej: Pierścieniowate przewężenia ciała, to właśnie owe „talerze” gołym okiem oglądane. Mikroskop prostuje nasz błąd wzrokowy. Talerzyki owe dadzą początek efirom, gwiazdko-kształtnym tworom dalszych przeistoczeń meduzy.



Poniżej: Niby osad pleśni — pokrywają jesienią maleńkie polipy meduzy kamienie i rośliny dna morskiego, by rozpocząć dziwaczny swój rozwój.



Poniżej: Oto właśnie „efir”, symetryczna gwiazdka z galaretowatej masy, przedostatni kształt rozwojowy meduzy.

Fot: Dr Schmidt-Schaumburg

POTWÓR



Fabryka stała nieco za miastem, na uboczu, w dzielnicy zacisznej i spokojnej. Przytykały do niej bezpośrednio liczne zabudowania gospodarcze i domy mieszkalne pracowników fabryki. Wszystkie te budynki tworzyły prostokąt, zamknięty ogromnym asfaltowym i równym jak stół dziedzińcem. Dziedzińca tego, zabudowań fabrycznych i mieszkań strzegł od niepamiętnych — jak mówiono — lat pies, noszący historyczne imię: CEZAR.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłam to zwierzę, krzyknęłam, cofając się z przerażeniem i wstrętem. Widząc jednak, że „potwór" nie ma wobec mnie żadnych złych zamiarów, odważyłam się ruszyć, a nawet podeszłam bliżej, by stwierdzić, co też to jest.

— Ni pies, ni wydra... — jak powiadają.

A jednak był to pies. Zresztą jego wygląd zewnętrzny słabo zdradzał przynależność do tych pięknych czworonogów, natomiast na pierwszy rzut oka dziwnie przypominał... hienę!

Było to psisko tak szkaradne, że podobnego nie widziałam w życiu. Cezar miał długą rzadką brodę, na której obnosił stale resztki jedzenia, a więc ziemniaki, kaszę, strzępy mięsa. Broda ta „zdobiła" prostokątny łeb o nieproporcjonalnie maleńkich śpiczastych i wiecznie sterczących uszkach. Poza tym Cezar — oczywiście — miał cztery nogi (jak każdy pies): były to cztery ciężkie i niezdarne słupy, bez formy i kształtu, owinięte w nieprawdopodobnie brudne pończochy poplątanych i długich kudłów. Korpus Cezara stanowił również idealny czworobok ciężki, z gruba ciosany, zakończony wyrostkiem, czyli resztką obciętego niegdyś ogona. Ogon ten



nigdy nie znał spoczynku: z jego pomocą objawiał Cezar wszystkie uczucia swej psiej duszy, a więc radość i smutek, zadowolenie i gniew, miłość i antypatię, sytość i głód...

Na próżno usiłowałam dowiedzieć się, ile lat może mieć Cezar, jakiego właściwie jest koloru i do jakiej rasy należy. Co do lat, to mógł ich mieć dwanaście, czternaście, może nawet więcej, gdyż najstarsi robotnicy pamiętali go zawsze takim samym. Rasa? Najlepsi znawcy nie wiele mogli się zorientować co do genealogii „hieny", no —, a kolor? Właściwie miał na sobie wszystkie barwy: był czarny, szary, żółty, rudy, miejscami gniło zielony, albo błękitnawy... Jedno nie ulegało wątpliwości: był straszliwie brudny. Gęste i długie kudły były składem wszelkiego rodzaju śmiecia, kamyczków, słomy, na której spał, prochu i pcheł w przerażającej ilości. Wprawdzie w chwilach wolnych od stróżowania, to znaczy cały dzień, zwalczał je bez miłosierdzia, ale niestety niewiele mógł sobie z nimi poradzić, gdyż miał tylko cztery ostatnie zęby, i tak już próchniejące: dwa na górze i dwa na dole.

A jednak — jednak — czy uwierzycie? — Cezar był śliczny. Za takiego przynajmniej uważali go wszyscy, którzy zetknęli się z nim bliżej. Oto Cezar miał przepiękne oczy, czarne świecące i duże, mimo starości świeże i czyste, bystre jak szczenię. Spojrzenie ich było tak rozumne i badawcze, że nie każdy potrafił patrzeć w nie długo. Oczy te spoglądały na samo dno serca, umiały odgadywać myśli, przeczuwać zamiary, rozbrajać gniew i rozpędzać smutek. A że przy tym dla swoich miał usposobienie pełne niewypowiedzianej słodyczy i oddania, był oczkiem w głowie wszystkich. Brzydkie to zwierzę kochano, pieszczono, głaskano, nazywano najsłodszymi słowy. Dzieci wieszały się mu u szyi, całując bez obrzydzenia niechlujny łeb i dzieliły z nim — niezrównanym towarzyszem zabaw w gonitwę i „chowanego" — owoce, cukierki i słodkie placki, albowiem Cezar był wszystkożerny.

Szczególnie lubiano przydybać go z nienacka, śpiącego w kącie. Wówczas bowiem otwierał z zasady tylko jedno oko, przewracał się brzuchem do góry i grzebał w powietrzu niezdarnymi łapami, co oznaczało prośbę o skrobanie patykiem po brzuchu; to szalenie lubił.

Nikt nie przeszedł — czy to dyrektor, czy urzędnik, czy robotnik, by nie schylić się, nie objąć dłońmi, szkaradnej głowy i nie spojrzeć czule w słodkie, mądre ślepia. A Cezar dla każdego miał zawrotnie szybkie machanie ogonem i cudne spojrzenie swych mądrych wiernych oczu...

Pewnego dnia przyjęto nowego urzędnika. Urzędnik ten na chwilę opuścił swe biurko i wyszedł. W międzyczasie Cezar, który miał nieograniczony przywilej chodzenia po biurach, rozłożył się na całą długość pod biurkiem nieobecnego, gotując się do smacznej drzemki.

Urzędnik — wróciwszy — cofnął się gwałtownie.

— Cóż to za ohydny potwór? — krzyknął ze strachem.

— Niech się pan nie boi, on nic nie zrobi! — roześmiał się drugi urzędnik.

Ale „ohydny potwór" usłyszał... Cezar dobrze znał i rozumiał ludzi. Z akcentu człowieka wyczuł, że nie jest mile widziany. To zdarzyło mu się pierwszy raz.

Wstał. Podszedł do przestraszonego urzędnika i usiadł naprzeciw niego, stukając miarowo a szybko ogonem o podłogę, na znak, że przybywa w zamiarach pokojowych... Przy czym spoglądał uważnie i uparcie prosto w oczy urzędnika. Ten, widząc łagodne zachowanie się psa minął go w milczeniu i usiadł przy biurku. „Ohydny potwór" niezrażony obojętnością wstał i poszedł za nim. Znowu usiadł, ale tym razem całkiem blisko i oparł mu brodatą mordę na kolanie. Uważne jego oczy po prostu przenikały na wskroś zmieszanego mężczyznę. I nagle ten ostatni uśmiechnął się, oczy pojaśniały mu dziwnie, pogłaskał psa i rzekł: — Ładny pies! miły pies! kochany piesek! — Pogłaskał go po raz drugi, trzeci, czwarty...

Cezar poderwał się z miejsca z wybuchem szalonej radości. Mlasnął ozorem głaszczącą go rękę, po czym wypadł na dziedziniec, gdzie przeraźliwym szczekaniem i zataczaniem olbrzymich kół oznajmiał światu, że on nie może mieć wrogów, że wszyscy go kochają bo i on wszystkich kocha.

Wszelako jednego człowieka Cezar nie mógł znieść: kominiarza. Wystarczyło szepnąć to słowo, a grzbiet Cezara straszliwie stawał dęba, słodkie oczy dziczały nabiegając krwią, a z zapienionego pyska żółciły się groźnie cztery ostatnie kły. Toteż, gdy kominiarz miał przyjść, psa zamykano w piwnicy, lub u nas w kuchni.

Pewnego razu przyszedł nowy kominiarz bez uprzedniego zapowiedzenia się, nie wiedział bowiem, jakie niebezpieczeństwo czyha na niego na terytorium fabrycznym. I tak szczęściem Cezar był przywiązany. Razem z budą wywlókł się za kominiarzem i dopadł go na środku dziedzińca. Skończyło się na tym, że kominiarza odwieziono do szpitala, gdzie przeleżał dwa tygodnie. Fabryka zapłaciła odszkodowanie i koszta leczenia, a sprawca dostał dwadzieścia kijów, podczas wymierzania których świadkowie egzekucji przełykali łzy...

Czasami jednak życie lubi płatać prawdziwie psie figle. Raz oto Cezar odczuł pragnienie, które postanowił zaspokoić z ogromnej kadzi, stojącej na dziedzińcu. Koło kadzi leżał stos belek — pies skoczył na belki, sięgające prawie jej wierzchu i nachylił się nisko, gdyż kadź nie była zupełnie pełna. Naciągając mocno szyję stracił równowagę i wpadł do środka. Na próżno usiłował wyskoczyć. Czas jakiś pływał, ale siły wnet go opuściły. Była właśnie obiadowa pora, wszędzie pusto, nikt nie wiedział o wypadku. Biedny pies byłby niechybnie utonął, gdyby nie to, że właśnie bocznym wejściem wszedł na dziedziniec obznajomiony z fabryką kominiarz. Usłyszawszy rzężenie i stękania bez namysłu pochylił się nad powierzchnią kadzi i z wytężeniem wszystkich sił wyciągnął z wody duże i ciężkie psisko.

Cezar otrząsnął się z wody raz i drugi. Czas jakiś stał z głową nisko opuszczoną i patrzył głupio w ziemię. Wreszcie ocknął się — podniósł łeb...

...oprzytomniał w sekundzie. Mokry grzbiet zjeżył się okropnie, w krtani zabulgotało coś głucho, w pomarszczonej paszczy złowrogo błysnęły kły. Już... już... krwawe oczy spoglądały z nienawiścią w zadymioną twarz, mokre nogi dygotały, kurcząc się do skoku... Kominiarz struchlał.

Ale szlachetne zwierzę pojęło, że wrogowi zawdzięcza życie. Niespodziewanie Cezar przestał warczeć, schował zęby i spłaszczył grzbiet. Spojrzał raz jeszcze na kominiarza, obwąchał go uważnie — i chyłkiem umknął do swojej budy. Tam dopiero dał upust nienawiści i szczekał tak przeraźliwie, że wypadłam przerażona na ganek.

Nogi nadrżały pode mną, gdy zobaczyłam odwiązanego Cezara i bezbronnego kominiarza, przy kadzi. Blady był ale spokojny i uśmiechał się. Cezarowi mignęła w oczach moja jasna sukienka: w kilku susach przesadził dziedziniec i przypadł mi do kolan. Wepchnęłam go do sionki, a potem wyszłam na podwórze, gdzie kominiarz opowiedział mi szczegółowo, co zaszło. Poradziłam mu, by nie liczył lepiej na wdzięczność Cezara i ulotnił się jak najprędzej.

Przyszłość pokazała, że nie znałam Cezara dość dobrze. Pies rzucał się wprawdzie, jak wściekły, ujrzawszy czarną postać, ale poznał swego wybawcę. Obwąchał go, uważnie obejrzał i oddalał się do budy, gdzie mruczał coś, kurcząc się i chowając oczy. Niemniej postanowiono raz na zawsze ograniczyć swobodę Cezara...

Jakkolwiek uprzedzenie jego do kominiarzy było dla nich niebezpieczne, oni sami traktowali rzecz humorystycznie. Pewnej niedzieli jeden z kominiarzy przyszedł w zwyczajnym cywilnym ubraniu na pogawędkę do portiera. Cezar usiadł między nimi na schodach, w największej zgodzie, pełen — jak zawsze — słodyczy, spokoju i sympatii dla otoczenia. Portier wezwał nas wszystkich i zaśmiewaliśmy się z naiwności kochanego zwierzęcia. Sam kominiarz z naszej namowy wołał: — Cezar, kominiarz! zabij! zabij!

Biedne psisko zerwało się, jak ukłute szydłem i krążyło po dziedzińcu, charcząc i szczekając. Zziajany i zawiedziony wrócił na swoje miejsce, ale co chwila patrzył wyczekując na kominiarza, gotów każdej chwili zerwać się i biec — wierny swej nienawiści.

Pewnego dnia postanowiłam, że Cezara absolutnie trzeba wykąpać i ostrzyc. Udałam się na naradę do władz kompetentnych, to jest do portiera i stróża. W jakieś pół godziny później siedziałam na podwórzu, przemawiając do Cezara dla niego tylko zrozumiałym językiem. Pies oparł łapy o moje kolana i łasił się — szczęśliwy — a tymczasem stróż jakąś maszynką spod ciemnej gwiazdy strzygł go do gołej skóry. Następnie obcięto Cezarowi dostojną brodę. Portier i stróż zakasali rękawy i zwabiwszy psa z moją pomocą do balii, przygotowanej uprzednio na dziedzińcu, poczęli go szorować i myć. Cezar, który po raz pierwszy w życiu zetknął się mydłem i wodą, wył w niebogłosy, skamlał, wydzierał się i chlapał tak, że tumany wody przesłaniał nam widok, ale został gruntownie oczyszczony. Kąpiel ta i ostrzyżyny były niemal rodzinną uroczystością, której wszyscy asystowali. Wycierając go do sucha ścierkami rozprawialiśmy z zachwytem, jaki Cezar będzie cudowny: czysty i odwłosiony.

Ale zawiedliśmy się srodze: biedny Cezar był tak brzydki, że nic mu pomóc nie mogło, natomiast bez swojej brody, bez kudłów, kłockowaty i prosty, był tak komiczny, że wszyscy zataczali się od śmiechu.

Załamałam ręce z rozpaczą:

— Cezar! Cezar! jakiś ty szkaradny!

Nieszczęsne zwierzę, oszołomione jeszcze i półprzytomne poznało z naszych min, że mamy do niego jakąś pretensję. Pomalutku i nieśmiało Cezar wlazł pomiędzy nas, usiadł pokornie i podniósł na nas swe cudne oczy, wierne i czyste a tak bezgranicznie smutne, że przestaliśmy się śmiać.

I nagle rzuciliśmy się po prostu na niego: wyrywaliśmy sobie z rąk to zwierzę kochane, które tak umiało zjednywać sobie ludzkie serca i tak bardzo umiało nas kochać. Każdy go ściskał i całował nieomal, głaskał i przemawiał do niego, jak do dziecka. A Cezar lizał wszystko co mu podpadło pod język: ręce i twarze, i skamlał z radości, że przecież nic się widocznie nie stało, skoro kochamy go po dawnemu...

W niespełna rok później wyjeżdżałam na zawsze... Wstydzę się dziś wspomnieć, jak płakałam nad głową Cezara. Obejmowałam ramionami prostokątny kadłub, a łzy moje spadały jak groch na brzydki pysk ulubieńca. Cezar później dopiero miał zrozumieć, co to wszystko znaczyło...

Napisał mi w kilka dni później jeden z tamtejszych urzędników, że Cezar leży na balkoniku pod drzwiami, z których wychodziłam zwykle, i waruje z nosem utkwionym w szparze między drzwiami a podłogą. Przez trzy dni nie wziął nic do pyska. Tylko skamlał cichutko. Nie można było odegnać go stamtąd ni kijem, ni prośbą.

Na czwarty dzień dopiero poderwał się, jak oparzony i odskoczył od drzwi: zobaczył kominiarza!!! ....

Radość

Nie rozmieniałem swych uczuć w moich niepowrotnych
wiosnach
na drobne serca podarki — dawane bylekomu — —
Gromadziłem je, jak skąpiec w swym zamkniętym domu
dlatego — w miłość wzrosłem.

A teraz, gdyś się zjawiła w południe czekanych dni,
jak bogacz pełnymi garściami czerpię i hojnie Cię obdarzam,
ani spoglądam wstecz — ni dni mające przyjść rozważam —
jestem jak człowiek, który — śni —

— snem najpiękniejszym ze złud — jawą piękniejszą od snów —
— nadzieją zakutą w słowo litościwe „czekaj"
— marzeniem — które w dzień biały do mnie się twoim
uśmiechem — uśmiecha.
— chwilą — która powrotną falą — wróci znów.

Śpiewam i sercem chcę trafić w serce — jak napięty łuk,
co mierząc w górę wystrzeli racą ognistą,
nabierze pędu śmigłego — otuli się słońcem i ciszą
i padnie — u twych stóp.

Nie chcę mych uczuć rozważać na zimno i na zimno liczyć,
ni mych zachwytów, uniesień — rzeczywistością przewlekać —
Jam jest bogacz szczęśliwy — twój obraz zaklęty mam
w powiekach —
nikt mi go nie odbierze i nikt mnie nie wydziedziczy.

Najcudowniejsze południe — południe czekanych dni,
obłoku złoty — coś mnie w radości, z ciszy i odrętwienia
zbudził,
łasko spromieniająca drogę smutnych i zapomnianych ludzi.
Śnie mój — coś krzykiem szczęścia w moje się serce wbił.

Jerzy B[illegible]iewski

ZE ŚWIATA LEGEND

Stanisława Nowakówna

O DUSZKACH SKRZYPIEC GRAJKOWYCH

Na rogu ulicy wielkiego miasta, stawał wieczorami stary, chudy grajek.

Wygrywał na skrzypkach przeciągłe, smutne melodie.

W ten sposób pracował na chleb.

Nie zawsze to mu się udawało

Najgorzej bywało zimą, gdy ludziom uciekającym przed mrozem nie chciało się wydobywać rąk dobrze ukrytych.

Jednego wieczoru nikt mu nie rzucił ani grosza.

Głodny był.

Mróz szczypał jego policzki i źle odziane ciało.

Skrzypce grały tak pięknie jak nigdy.

Na próżno!

Pustej ulicy, zimnemu wiatrowi i gwiazdom grał.

Słuchały go tylko latarnie.

Wiatr odpowiadał gwizdaniem.

Gwiazdy migotały z nieba i jedna ulitowała się nad nim. Zesłała mu do pomocy dwa maleńkie niewidzialne duszki.

Duszki usiadły na smyczku i pomagały w grze.

Znowu na próżno. Ludzie obojętnie szli dalej.

Zasmuciły się duszki i radziły co począć.

A właśnie od wylotu ulicy w stronę grajkową szedł ciepło odziany pan.

Bogaty fabrykant. W kieszeniach niósł dwa wypchane portfele.

Szedł i głośno obliczał swoje pieniądze.

Usłyszały to duszki. Ucieszyły się.

Na niewidzialnych skrzydełkach wyfrunęły na ulicę i pląsając nad panem prosiły go, aby podzielił się nimi z grajkiem.

Przemysłowiec nie rozumiał ich mowy.

Szedł dalej obojętny i zły. Gniewała go wynędzniała postać grajka i jego smutna muzyka.

— Że też pozwalają łazić włóczęgom po ulicy? Gdzie podziewa się policja? — mruczał, spiesząc naprzód.

Duszki postanowiły czarami zmiękczyć jego twarde serce. Powróciły mu na chwilę ubiegłe lata i przemieniły w małego chłopczyka.

U stóp ukochanej matki siedział na niskim krzesełku w dziecinnym pokoiku. Nuciła ona tę samą pieśń, co skrzypce grajkowe.

Jest bardzo szczęśliwy. Zasmucił się szczerze, gdy skończyły się czary.

Odchodził posmutniały, oddalając się coraz bardziej od grajka.

Duszki pobiegły za nim, używając innego sposobu. Obok pana niespodziewanie stanął jego dawno już zmarły opiekun.

Twarz widma jest surową, a usta szepcą gniewnie: — Co zrobiłeś z majątkiem, który ci pozostawiłem w spadku?

— Pomnożyłem go dziesięciokrotnie.

— Dla kogo? Czy obtarłeś nim aby jedną łzę, czy nakarmiłeś aby jedne głodne usta? Biada ci biada!

Przerażony pan uciekał, oddalając się jeszcze bardziej od grajka.

Duszki postanowiły po raz ostatni zmiękczyć jego serce.

Sposobem bardzo pewnym. Przemieniły go w grajka.

Jako nędzarz stał na pustej ulicy i grał.

Zimno mu było i głodny był bardzo.

Ludzie obojętnie przechodzili obok niego i nikt mu nie chciał dopomóc.

Zapłakał serdecznie nad sobą. Zrozumiał, że cierpi za karę.

W tej chwili, gdy to poczuł, duszki wróciły mu własną postać.

Odetchnął uradowany.

I posłyszał grajkową melodię.

Zrozumiał jego nędzę .

Podbiegł do niego. — Chodź ze mną! — rzekł. — Dopomogę ci!

Zaprowadził go do swego mieszkania.

Odtąd biedny grajek na zawsze już zamieszkał u niego. Stali się przyjaciółmi.

Za pieniądze fabrykanta wybudowali piękny jasny dom, w którym grajkowie i muzycy całego kraju, wolni od trudu i trosk, doskonalili się w swej sztuce i wydawali koncerty.

Duszki na zawsze zamieszkały w tym domu i uczyły grajków gwiaździstych melodii.

O DRZEWIE, KTÓRE MIAŁO ZŁUDZENIE

W dziedzińcu, pośród czworobocznego muru kamienicy rosło bardzo wysokie i bardzo stare drzewo.

Koroną sięgało jedynego okna w murze na trzecim piętrze.

We wszystkie dni wiosenne i letnie zielone konary drzewa szumiały kołysankę dzieciom, bawiącym się u jego stóp.

Wskazywało drogę promykom słońca, które czasami zabłąkały się w murach. Szumiąc, pląsało z lekkim powiewem wiatru.

Nocami, kiedy pełny księżyc stróżował na niebie, gawędziło drzewo z gwiazdami. Gwiazdy odpowiadały mu mruganiem światełek.

Nadeszła jesień. Drzewo straciło zielone liście. Nagie i czarne drżało na zimnym wietrze i szarudze. Nikt go już nie odwiedzał. Ciążyła mu samotność. Promyki słońca spały za chmurami.

Dzieci w pokojach tuliły się do ciepłych pieców.

Opuszczone, posmutniałe drzewo coraz niżej chyliło koronę. Aż pewnego zachodu dnia oparło ją o zachlapane deszczem szyby okna na trzecim piętrze.

Na długą chwilę tam przylgnęło konarami. Weselej zaszeleściały gałęzie. W pokoju za oknem był ktoś, jakaś istota.

Sterczał oparty o wieszak. Spod nasuniętego wysoko kapelusza nie widać było twarzy. Cała postać skryła się w fałdach długiego płaszcza. Drzewo poczęło pukać do okna. Zrazu cicho, a potem coraz głośniej. Pukaniem gałązek zapraszało Ktosia do rozmowy. Ten trwał nieporuszony. Nie podniósł kapelusza, nie odwrócił twarzy.

Zawstydziło się drzewo.

— Ktoś jest dumny, nie chce rozmawiać z głupim drzewem. Może to filozof, nie ma czasu na rozmowy.

I postanowiło cierpliwie czekać do świtu, kiedy filozof z pokoju odwróci twarz, aby pokłonić się słońcu — największemu spośród filozofów.

Przytulone do szyby drżało na zimnicy.

Nadszedł nareszcie świt. Rozproszył mroki i obudził słońce. Drzewo przywarło do okna... i już podniosło się, aby za chwilę opuścić jeszcze niżej.

W pokoju nie było nikogo. Nie zobaczyło żadnej twarzy.

Na wieszaku wisiał stary płaszcz i kapelusz.

Drzewo miało złudzenie, tak jak bardzo często miewają je ludzie.

O KRÓLEWICZU I SIEROTEŃCE

Pokochała uboga sierota pięknego i bogatego królewicza.

Wątłe i drżące ramiona sieroty dźwigały w długie poranne godziny ciężkie wiadra wody trudu, a słone łzy potu spływały jej z jasnego czoła.

Królewicz na puchowych łabędzich poduszkach spoczywał, marząc o hucznych i wesołych kaskadach muzyki, gwarnych błyszczących zabawach i o prześlicznych księżniczkach.

A kiedy królewicz podnosił się z łoża, to na skinienie jego przybiegał cały rój bezszelestnych paziów, aby nacierać gibkie członki jego wonnymi, jak lilie olejkami, układać w zwoje jedwabie kruczych kędziorów i stroić go w najpiękniejsze przecudownie subtelne tkaniny.

Od zwierciadlanego stropu komnat szafirowch szemrała anielskich chórów melodia, umilając królewiczowi zamorskie potrawy podawane na złotych naczyniach.

Sierotence wiatry zwichrzały złotowłosą czuprynę, a bezlitosne zimne deszcze kąpały sine i bose nożęta.

Kawałek suchego, czarnego chleba ściskała w dłoniach, goniąc w pole swoje gąski — smutki.

A kiedy królewicz nudził się w zacisznych komnatach i przychlebni służalce wymyślali coraz nowe i coraz weselsze zabawy, sierocina drżała na zimnym pastwisku niedoli i marzyła o królewiczu i pieśni o nim układała.

Bo sierotenki nie kochał nikt z ludzi.

Kochały ją tylko dobre duszki polnych kwiatów i drzew i złożyły w jej słabe, poranione dłonie moc cudów słów, czarów słów, róż, słów poezji. A ona te wszystkie skarby serca swojego składała królewiczowi w ofierze. Nie wiedział i nie myślał królewicz o ubogim dziewczątku, jeno w pałacu swym roztęczonym przez słońca stu świec, tańczył przecudownie gnąc zgrabniutkie stopy w srebrnych pantofelkach.

A sierotenka drżąca z zimna, słaniająca się z głodu, ukryta przez litościwy krzew bzu wonnego, modliła się oczyma, modliła się sercem mdlejącym i duszą do cudnego królewicza i jego pałacu.

Zamyślił się w tańcu królewicz, zmarszczył na chwilę pogodne czoło, bo zdawało mu się, że w perlistych kaskadach muzyki łka i drży nieuchwytna a izawa skarga i szloch ginącego ludzkiego serca.

Nie wiedział nic królewicz, bo gdyby wiedział, nie byłoby tej bajki.

A pod płotem, wśród bzu, umierała sierota.

Z serca jej płynęły ku królewiczowi ciche i białe gołębie rozpaczy i żalu ogromnego, jak wszystkie świata oceany.

— O królewiczu mój. Snów moich rycerzu. Wzgardzona przez ludzi sierota pokochałam ciebie, słoneczko ty jasne. Przyjdź, przyjdź jedyny, złóż wypieszczoną lilię dłoni na mym rozpalonym czole i gorejące diamenty swych oczu utop w moich skromnych bławatkach.

Jak ta arfa łka cudnie w komnatach i mnie tak smutno, tak pusto i tak żałośnie. Królewiczu, umieram.

I skonała sierota.

Nazajutrz jaśniejszy od słońca królewicz otoczony świtą paziów i dworek krasnych stąpał po kwiecistych kobiercach murawy.

Aż podszedł królewicz do krzewu starego bzu, pragnąc wciągnąć w płuca czar jego woni.

Wtem litościwy bez rozsunął ciemne dłonie gałęzi i ukazał zdziwionym źrenicom królewicza zastygłe już zwłoki sieroty.

I za późno utonęły czarne diamenty w uwiędłych bławatkach.

Za późno dotknęła biała lilia dłoni zastygłego czoła.

Zamyślił się królewicz i odszedł smutny w świat.

Wroniarz

H. Watzlik

Gdy nasz dobry Bóg rozsiewał po ziemi wioski wymknęło mu się kilka z nich i upadło gdzieś na końcu świata pośród lasów. Tam kwitnie teraz Złuda i Strach i wydaje całkiem osobliwe owoce, ponieważ korzeniami swymi tkwi głęboko w obcej otaczającemu światu naiwności i prostocie.

Gdy Janek był jeszcze małym chłopcem, przykucnięty siedział raz obok swojej babki na progu drzwi, a ta z szacunkiem wskazała ręką na rozciągający się przed nimi widok: daleko przed nimi jaśniał biały, obszerny dwór z niezliczonymi oknami. Nazywała go białym zamkiem. — Na tym miejscu, gdzie teraz stoi „Biały zamek", rosła kiedyś bardzo wysoka jodła — opowiadała chłopcu — a na jodle było gniazdo wronie. I razu pewnego burza zwaliła jodłę, gniazdo wypadło, a w nim leżał ciężki, kosztowny naszyjnik.

Ubogi drwal, który znalazł gniazdo, wybudował sobie potem ten bogaty dwór.

Janek zapamiętał sobie tę bajeczkę lepiej niż inne opowiadania tego rodzaju zaczynające się od słów „razu pewnego", i znalazł upodobanie w próżniaczych marzeniach. Wyrósł na silnego, gibkiego mężczyznę, ale wzrastał także w dziwactwie, które kazało mu uciekać od ludzi i szukać niedostępnych ostępów leśnych, gdzie całym światem były tylko drzewa, mech i korzenie, kuny i wiewiórki, szum jodeł i krakanie wron. Chodził tak i szukał gniazd wronich, a w nich ukradzionych przez „czarne złodzieje" klejnotów, aby stać się bogaczem.

Obcy ludzie żegnali się i ściskali mocniej w rękach laski, gdy przypadkiem spotkali Janka gdzieś w gęstwinie leśnej. Bo też wyglądał Janek jak wcielony diabeł leśny. Oprócz skórzanych spodenek nie miał nic na sobie, nawet koszuli, nawet drewniaków. Ponieważ chodził tak prawie całkiem goły, skóra jego była brunatna jak kasztan i błyszcząca jak garbowana. Z karku spływała mu czarna szczecina wzdłuż pleców, podobna do grzywy końskiej. Zatłuszczonego kapelusza nie zdejmował z głowy całymi latami, nawet w czasie snu; wydawał się jakby przyrośnięty do włosów i zlepiony, tak że gdyby mu ktoś znienacka zdjął z głowy kapelusz, zerwałby razem z nim skórę i włosy.

Ludzie nie mieli zrozumienia dla Janka. Jedni wierzyli, że uzbierał sobie już tyle srebra i złotych pierścionków, drogich kamieni i brzęczącej monety z gniazd ptasich, że mógłby sobie za to już całą górę kupić. Inni kpili z niego, że całe życie przepędza na śmiesznym uganianiu się za mrzonką i przepowiadali mu dom ubogich albo co najmniej złamanie karku, wyśmiewali się z niego i dokuczali mu stale, przypięli mu też przezwisko „Wroniarz".

Janka Wroniarza nie nawróciła ani życzliwa namowa ani kpiny ani niepowodzenie, gdy całą jego zdobyczą, którą mógł się poszczycić, były tylko kolorowe skorupki, jakiś blaszany guzik lub blaszany pierścionek, jaki się przywozi zwykle jako upominek z pielgrzymki.

Raz jednak omal że się nie poszczęściło Wroniarzowi. Było to w jakimś zakazanym ostępie leśnym. Ale Janka to nie przestraszało, czuł się w nim jak u siebie w domu. Kładł swoje smolaste łapy na rozłożystą, sękatą sosnę, wciskając je na zmianę raz pomiędzy kolana to znowu między pięty i obłapiał ramionami, guzowatymi jak dwa korzenie dębczaka, pień drzewa ponad sobą. W okamgnieniu znalazł się na szczycie między gałęziami korony, uniósł się do gniazda, wyciągnął szyję i wytrzeszczył oczy. Plugawa gęba zaciekawionego księżyca żeglowała ponad wierzchołkami drzew, a w splecionej z chróstu kołysce ptasiej błyszczało coś i świeciło się, jak gdyby leżało tam co najmniej jakieś naczynie srebrne ukradzione wprost ze stołu cesarskiego. Gdy tylko Janek wyciągnął rękę, aby namacalnie przekonać się o zawartości gniazda, usłyszał z dołu z głębi atramentowo-ciemnego lasu okropny jakiś, wstrząsający głos:

— Janku, hohoho!

Janek spojrzał przerażony ku dołowi, kto na niego woła takim strach wzbudzającym głosem i ten moment poddania się chwilowego niespodziewanemu zjawisku wystarczył zupełnie dla zniknięcia pięknej zdobyczy. Gdy sięgnął ponownie do gniazda, były tam już tylko nędzne szczątki błyszczącej blachy.

Ale ani niepowodzenia, ani straszydło, ani widma nie zdołały go odstraszyć, ani nawet niebezpieczeństwa na które narażał się w swoim dziwnym zawodzie.

Innym razem znajdował się Janek na starym dębie, na którego dziewięciu silnych konarach kiedyś powieszono koniokradów. Młode, ogniste pokolenie kruków krzyczało w swoim gnieździe co miało sił i machało w podnieceniu skrzydełkami na widok Janka.

— Cicho, strupiaste parszywce. Nic wam przecież nie zrobię! — uspokajał je.

Ale już zaszumiały skrzydła nadlatujących rodziców kruczych i wśród głośnego krakania zaczęły go bić twardymi skrzydłami i strupiastymi dziobami i celowały wprost w jego oczy. Chcąc się zasłonić rękami przed rozwścieczonymi krukami puścił gałąź, której się trzymał i spadł na dół wśród trzasku łamanych konarów.

Przyniesiono Janka na korycie do domu i sprowadzono z karczmy znachora, który przystawił na udo, gdzie chory najbardziej był potłuczony, kilka pijawek. Po jakimś czasie potrząsnął cyrulik głową, mrucząc:

— Hh, hm, dziwne, dlaczego pijawki nie chcą się dzisiaj przyczepić.

Jeden z obecnych zauważył:

— Czy nie byłoby dobrze przedtem zdjąć mu skórzane spodnie, doktorze?

Janek mieszkał w całkiem opuszczonej chatce. Chatka była drewniana i miała dach z desek, a na nich leżały kamienie. Komin trząsł się na wietrze. W ścianach domku pukały świerszcze i wierciły korniki i zewsząd sypała się żółta mąka i pełno było pyłu jak w młynie. Gdy Janek jadł przy stole, z sufitu zwieszały się mu nitki pajęczyny aż do zupy. Domek pochylił się ze starości ku ziemi. Aby się całkiem nie przewrócił, podparł go Janek kilku drągami.

Gdy tak Janek leżał samotnie i wił na łożu boleści, zdarzył się niezwykły wypadek. Jak gdyby się między sobą umówiły, przelatywały nad jego domem z poszumem skrzydeł setki wron w zwartych oddziałach, z wszystkich lasów okolicznych przybywały i siadały na dachu, na płocie domka i na sąsiednich drzewach. Gdzie spojrzeć kłębiły się czarne i szare tłumy i słychać było ustawicznie charczenie, krakanie i szum skrzydeł i wzloty i opadanie, że aż w izbie było ciemno. Wydawało się jakby odbywały wiec, na którym sądziły swego prześladowcę, którego aż nadto wszystkie znały i nienawidziły.

Jankowi zimny pot spływał po grzbiecie. Czego chciał od niego ten czarny sejm? Czy czyhały na jego duszę? Biada mu, gdyby go tak napadły, gdzieś na łące albo na morzu. Nie zdołałby się nawet obronić! Ale tymczasem był bezpieczny w swojej chacie, chociaż wcale mu z tego powodu nie było wesoło.

Dopiero gdy ciemność zapadła, odleciały ptaki i ze złowieszczym krakaniem udały się do swoich legowisk.

Sztuka lekarska cyrulika Mehlstäubl znowu święciła triumfy: trzeciego dnia siedział Janek, nie zważając na znak ostrzegawczy losu, na grubej sośnie, rosnącej na kamiennej ścianie. Ukryty na swojej liściastej a raczej iglastej placówce, baczył na wszystko uważnie, co się w lesie działo: widział jak małe sarenki ssały swoją matkę, jak lis-złodziej niósł tłuste kury młynarza, jak stare kobiety dźwigały suche gałęzie na zimę; słyszał co sobie opowiadały dzieci, co tam w dole napełniały jagodami swoje dzbanki, dowiadywał się także rzeczy, których nie powinien był wiedzieć i które powinny były zostać tajemnicą i w ten sposób wiedział o mieszkańcach wsi więcej, niż by im to było miło.

Pewnego razu — a było to w czasie ohydnej pogody: naprzemian to deszcz padał, to śnieg, to znów mgła — podsłuchał Janek rozmowę dwóch obdartusów, którzy swój wolny czas poświęcali na intratne rzemiosło złodziejskie. Prawie wtedy jak znajdowali się pod drzewem Janka, omawiali między sobą jak to w noc poprzedzającą targ bydlęcy odwiedzą piwnicę Janka, gdzie spodziewają się obłowić srebrem „wronim" ukrytym przez Janka w beczce z kapusty. Janek zachichotał na drzewie jak sowa i poprzysiągł sobie zalać im porządnie sadła za skórę.

Oznaczonej nocy czekał Janek w swojej skalistej piwnicy z potężnym tłuczkiem do kapusty w ręku. Naraz wyrwane zostało okienko piwniczne i jeden z rabusiów wsunął się ostrożnie przez okienko, głową naprzód.

Janek odczekał cierpliwie. Dopiero gdy złodziej połową ciała znajdował się wewnątrz i wygodnie się ustawił czatującemu, Janek podniósł wysoko swój tłuczek dla rozmachu i uderzył go w czoło z taką siłą, że aż się zaiskrzyło. Biedny złodziejaszek zaryczał przeraźliwie z bólu i zaraz został wyciągnięty za nogi przez swojego kompana na zewnątrz.

Rano zauważył Janek ślady krwi daleko w głąb lasu wiodące.

Ale wnet nastąpił odwet. Gdy Janek powrócił ze swojej zwyczajnej wędrówki do domu, zobaczył odrzucone na bok słupy podpierające ściany i domek zwalony. Janek tylko zaśmiał się w kułak. Teraz miał mniej trosk.

Najchętniej zamieszkałby w jakimś gnieździe wronim. Wiedział właśnie o jednym takim, które było tak miękkie, jakby je ktoś wyścielił pierzem. Ale ponad wygody ptasiego legowiska przeniósł siano samotnej stodoły, w której zakopywał się po uszy i szczęśliwy zasypiał snem dziecka. Inne potrzeby nie odgrywały u niego żadnej roli.

Pewnego razu zdarzyło się coś, co mu napędziło zimnego potu na ciało i gruntownie obrzydziło jego rzemiosło.

Było to w czasie kwitnienia jodeł. Janek wyspinał się pewnej księżycowej nocy na jakąś sosnę. Był to ciężki trud, bo drzewo aż kapało od żywicy i miało przedziwne narośle, a gałęzie tak dziko poplątane jak w żadnym lesie na kuli ziemskiej.

Gdy wreszcie dosięgnął gniazda, które wisiało na kruchym, niebezpiecznym wierzchołku, zaklął szpetnie: co u diabła, czy to wrona siedzi tutaj, taka śmiała i bezczelna?

Janek krzyknął, aby ją przepędzić. Ale ona spokojnie ułożyła sobie dziób na grzbiecie i spojrzała na niego groźnie, jakby chciała powiedzieć: za czym tu myszkujesz, przeklęty złodzieju?

Janek potrząsnął gałązką sosny. „Ksza, ksza!" wołał na uparte stworzenie.

Ptak tylko otrząsnął się, poprawił się na gnieździe, jakby był panem u siebie w domu, pióra nastrzępił, na gardle i zmierzył wzrokiem Janka tak, że zrobiło mu się naprzemian zimno i gorąco.

Jeszcze mu się nie zdarzyło w jego dotychczasowej ka[illegible]rze, aby mu się jakaś wrona tak zuchwale postawiła! [illegible] wziął postanowienie. Musi położyć koniec temu, tak [illegible] tak. Źle by było, gdyby nie mógł postawić na swoim!

— Kraa, — groził — wynoś się stąd prędko, bo ci uk[illegible] szyję.

I sięgnął ręką. Wtedy zwierzę przechyliło się troch[illegible] tyłu, zabłysło ku niemu złym spojrzeniem, podniosło [illegible] i wyharkotało: „Sagrra, sagrra!"

Janek osłupiał ze zdumienia. Czy to sen? A może ma g[illegible] rączkę, albo przesłyszał się? Przecież to niemożliwe, aby [illegible]

— Sagrra, sagrra! — powtórzył diabelski ptak znowu. [illegible]nek zrobił to, czego jeszcze nigdy w swoim życiu nie u[illegible]nił, zdjął kapelusz i wykrztusił:

— Kim właściwie jesteś?

DZIOBY

Fot. Atlantic

Tekst: Krysta Opal









Mieć taki dziób — to rzecz niezwykła:
ktoś patrząc nań pomyśli pewno,
że ptak ten chyba lwy połyka,
a już co najmniej rąbie drzewo...
— a biedak ten z miną stroskaną
pieprzne kawały (!) bardzo lubi:
lecz nie dowcipy — jeno ziarno!
Gdzie mały gust, tam wielkie dzióby...

Do hodowania niezbyt trudny
brzydki ten ptak — zwie się marabut.
Wygląda jakby nieco... brudny;
dziób ma zaiste — głupi jak but
i mógłby służyć zamiast żerdzi...
Ten dziób mi przypomina czasem
handlarza-skąpca, który siedzi
z okiem w szufladzie — za szynkwasem.

Cudownie piękny wzniosły orzeł
swój dziób jak berło dzierży dumnie —
skinieniem jego rzuca grozę
w poddańcze ptasze rzesze tłumne
...i gdy w przepaście nieba wzlata,
tym dziobem grożąc, jak król mieczem,
— to zdaje się, że śmierć skrzydlata
rzuca swój cień w najdalszą przestrzeń.

— Cóż się tam dzieje, moja kumo!!!
Heeej, dusza by do raju rada
I taką minę masz — rozumną...
Czy ktoś przyjechał do sąsiada! —
Kto z ciekawości wpadł w ekstazę
zawsze ma szyję krótką (!) nieco...
Czyż innym ciągną nas wyrazem
kumoszki, które plotkę wietrzą!

— Sagrra, sagrra! — odpowiedział ptak.

Janka ogarnął strach. Że też to zwierzę potrafi mówić! I tak mądrze mówi! To nie jest zwyczajna rzecz. I to przekleństwo w pysku ptaka! Wprawdzie było to półgłośne, syczące przekleństwo, które wrona wypowiedziała... Janek sam znał ich bez liku, ale wrona?! A może to szatan wcielony w ptaka, który go teraz doświadcza? Czarny i włochaty był wystarczająco jak na diabła. Jak on tę zakopconą szyję wyciągał ku niemu! Księżyc zawisł nagle nisko i zaczął szumieć i kipieć. Janek rzekł wtedy do wrony:

— O, Panie, przebacz mi! Nie zabieraj mnie jeszcze tym razem!

Wydał dziki okrzyk i rzucił się w dół między gałęzie i zaczął się opuszczać z taką szybkością wzdłuż pnia, że omal nie zapaliły się jego skórzane spodnie, a drzewo zaczęło dymić.

Ptak spoglądał na niego w zdumieniu.

— Sagrra, sagrra — pomyślał sobie.

Po tym wydarzeniu Janek zmienił się. Powziął postanowienie poparte przysięgą, że już nigdy nie powróci do swojego dotychczasowego trybu życia. Wkrótce potem ożenił się i odbudował swój domek.

Po wielu, wielu latach musiał Janek iść przez góry do leśniczego Hirnschrota z listem.

Gdy wszedł do leśniczówki, zobaczył stojącego na stole czarnego jak węgiel ptaka, który patrzył na Janka badawczo i długo, a wreszcie rzekł:

— Sagrra, sagrra!

Blady jak kreda cofnął się Janek i wyjąkał:

— Znowu mnie prześladujesz? Mojej duszy nie dostaniesz!

Leśniczy śmiał się do rozpuku i wołał:

— Ach, ty pożeraczu wron, toś ty już spotkał się z moim ptakiem!? I przeraził cię swoim powiedzeniem? Tego przekleństwa nauczył się ode mnie.

Teraz Janek wytrzeszczył oczy i patrzył to na leśniczego to na ptaka, jakby ich po raz pierwszy zobaczył.

W drodze powrotnej szedł ze zwieszonym nosem. Wydawało mu się, jakby mu skradziono najlepszą część jego życia. I nagle zaczął wspinać się na pierwsze lepsze drzewo próbując, czy jeszcze potrafi dokazać tego co dawniej było jego codziennym chlebem. Ale nie udało mu się. Ręce i nogi były jak zdrętwiałe. Musiał się zadowolić tym co los mu zgotował. Wyrzucił z siebie jeszcze kilka soczystych przekleństw, których niepodobna tu wymienić, i w ten sposób załatwił się ostatecznie z przeszłością.

Tłum. J. P.

MISTRZ PRZY PRACY

Dokończenie ze strony 5

Rząd zamawia szereg pomnikowych portretów. Przychodzi przełom XIX i XX-go wieku. Jego kompozycja alegoryczna „Przeszłe i przyszłe stulecie" wędruje na wielką wystawę paryską i tu młody artysta zdobywa pierwszą nagrodę w dziale rzeźby.

Teraz na znanego już artystę zwracają się wreszcie oczy [illegible]daków. Komitet Odnowienia Katedry Wawelskiej zaprasza [illegible] dla współpracy do Krakowa i Kraków, miasto artystów, [illegible]ykuł naszego mistrza na zawsze do siebie. Zostaje profe[illegible]em, dyrektorem i jednym z organizatorów Szkoły Przemy[illegible]wej (Przemysłu Artystycznego), nie ustając, mimo pracy [illegible]agogicznej, w wytężonej artystycznej działalności. Z tego [illegible]esu datuje się szereg prac pomnikowych, kościelnych [illegible]b i plakietowych portretów.

Interesujące go i od dawna studiowane zagadnienia pracy w górnictwie i hutnictwie, popierane studiami rzeźbiarskimi natury, pozwoliły na stworzenie doskonałych kompozycji [illegible]mbolicznych.

Również rzeźbiarstwo kościelne znajduje między innymi [illegible]ój wyraz w męce Chrystusa na tęczy kościoła O.O. Jezui[illegible]w przy ul. Kopernika w Krakowie.

Pasjonowały prof. Raszkę również zagadnienia mitologii [illegible]owiańskiej, dając pobudkę do stworzenia rzeźb z cyklu [illegible]gów słowiańskich.

W trakcie powyżej streszczonej rozmowy wchodzimy do [illegible]szernej pracowni w oficynie kamienicy. Zewsząd otacza [illegible] tłum rzeźb. Czego tu nie ma! A to tylko mała cząstka [illegible]órczości. Projekty pomnikowe, głowy, plakiety, medaliony, [illegible]trety konne, alegorie, rzeźby kościelne, a nawet projekty [illegible]awek i figur dla przemysłu ceramicznego.

Poważnie i zagadkowo patrzy na nas oczami sfinksa „Światowid" z cyklu bogów słowiańskich. A obok „Znicz" z tegoż cyklu. Młoda słowianka przenosi w dzień ślubu w glinianej urnie żarzące się węgle z domu rodzicielskiego do własnego, aby rozniecić nimi znicz własnego ogniska. A tam inny świat! Grupa żywo gestykulujących postaci. Cienie potęgują wrażenie ruchu i życia. Na twarzach zdumienie, zamyślenie to skrajne napięcie. W środku klęczący kornie starzec chyli się do nóg Chrystusa, który podaje mu klucze. To ołtarzowa kompozycja dla kościoła w Zawierciu pt. „Wręczenie kluczy św. Piotrowi". Potężny realizm ujęcia na długo przykuwa oczy widza. Wrażenie jest tak potężne, że mimo woli nasuwa się myśl, że kiedyś w rzeczywistości ta scena inaczej nie mogła wyglądać.

W grupie pomnikowych projektów szlachetnie prosta postać Zbawiciela wyciąga ramiona do świata. To pomnik Serca Jezusowego.

Z portretów wyróżnia się młoda męska twarz, pełna skupienia i wyrazu, patrząca spod szerokich krez kapelusza. To autoportret Artysty z czasów pobytu w Paryżu. Obok dwie główki niewieście. Piękna, uduchowiona twarz dziewczynki w obramowaniu bujnych loków. To córeczka Artysty, dziś, jak sam z dumą zaznacza, już mamusia.

— A ja jestem dziadkiem — dodaje z uśmiechem.

Druga kobieca głowa o dziwnym wyrazie zamyślonego uśmiechu, to majolikowe popiersie doktorowej R.

W drugim końcu pracowni zwraca uwagę studium aktu. Biała gipsowa postać młodej dziewczyny, wiążącej przed kąpielą zwoje włosów. Za chwilę w nurtach rzeki skryje swą pełną piękna nagość.

Jeszcze jeden i drugi rzut oka w głąb pracowni. Wśród piękna, zaklętego w kształty rzeźb igrają bezszelestnie cienie zapadającego zmroku. Czas wracać do rzeczywistości. Żegnamy Profesora, życząc mu długich, długich jeszcze lat artystycznej pracy i drzwi przybytku sztuki zamykają się za nami.

MEDUZY

Dokończenie ze strony 6

za sobą nie jest właściwie dużą, ale zważywszy, że ponosi małża równocześnie prąd wody — tedy ów „skok" jest dosyć rozpięty.

Zabarwienie zwierzątka waha się w odcieniu blado-różowym albo lilla; ponieważ jednakowoż ciało składa się z galaretowatej treści o zawartości około 98% wody, przeto omawiany mieszkaniec morza bywa w swym żywiole prawie niewidoczny.

„Wysuszywszy" meduzę na papierze, jest się szczerze zdumionym, że ze stosunkowo dużej istoty, taka odrobina po odparowaniu wody tylko pozostanie.

U brzegów parasolowatej masy ciała zwisają niezmiernie delikatne niby niteczki, o kolosalnie wielkiej ilości, robiące wrażenie ostrzępin u jedwabnego parasola, mocno już zużytego, będące długimi a cieniutkimi czułko-mackami, wyrostkami (tentaculae), w pośrodku zaś ciała widnieje przewód żołądkowy. Pożywieniem jamochłona są maleńkie rybki i raczki tudzież wszelakie drobnoustroje morskie. Z pomocą kapslowatych ssawek wokołogębno-żołądkowych i maczułkowych zdobycz dostaje się w posiadanie meduzy i staje się jej łupem, będąc widoczną we wnętrzu tejże po „spożyciu"...

Zajmującą rzeczą jest przebieg rozwoju tak na pozór „prosto" wyglądającego stworzonka, jakim wydaje się być żegawnica uchokształtna.

To, co widzieć można w wodzie oceanu, to już jest dorosła i dojrzała płciowo meduza. W niej to rozwijają się z nasienia i jaj malusieńkie, urzęsione larwy; nazwa ich, planula (płaszczki), jako już wolno-poruszających się w wodzie tworów żyjących, jest pierwszym mianem, upostaciowania się młodej meduzy. Planula bowiem wkrótce przyczepia się, osiada, na stałym podłożu dna i przemienia się w polipa o workowatym ciele z gębowym otworem szczytowym. Jesienią „obsiadają" masowo tego rodzaju polipy dno morskie i jego ukształtowanie, więc kamienie, rośliny, muszle itp., i rosną do wielkości 1—3 mm. — poczynają teraz przewężać się wzdłuż pierścieniowo. Na czołowym pierścieniu narasta nowy, i tak aż do ukończenia procesu przewężania się, zwanego strobilacją, trzeciego stadium rozwoju meduzy. Teraz następuje moment kolejnego oddzielania się pierścieni, niby rozpadania się na poszczególne krążki stworzonka. Oddzielnie pływające pierścieniowate dyski noszą czwartą nazwę w łańcuchu przeistoczeń meduzy, efirów (ephyra). Pod mikroskopem są owe efiry istnymi cackami natury. Co do regularności upostaciowania indentycznymi są z krystalograficznymi tworami znanymi z chemio-fizyki. Są to gwiazdki ośmioramienne o głębokich wcięciach na narożnikach, w których to nacięciach mieszczą się komórki zmysłowe zwierzątka, będące po tym, u dorosłej meduzy ważnymi organami życiowymi.

Uczulonymi są one między innymi na podniety zewnętrzne, jako to wrażenie światła, zachowanie równowagi, konieczność kierunkowych ruchów, pobudliwości obronnej itp. Efiry te pływają, rosną dalej wolniuteńko, tracąc z biegiem czasu formę gwiazdy skutkiem grzybowatego pęcznienia środka z żołądkowym aparatem, a upodobniając się do kapelusza-melonika albo płaskiego grzyba. W lipcu rozwój meduzy dobiega końca, by po zajściu procesu rozrodczego zwierzę macierzyste dało znów początek planuli, czyli pierwopierwszokształtowi pokolenia i niebawem obumarło, co ma miejsce już w połowie sierpnia. W morzach Wschodu okres ten przesuwa się do początku września lub nawet października.

Nader interesujący przebieg rozwoju meduzy można zaobserwować w akwarium z wodą morską — trzeba pamiętać tylko o koniecznym zainstalowaniu aparatu doprowadzającego tlen do wody. Meduza w swych przemianach ma w sobie coś bajecznego, będąc dowodem niewyczerpanych możliwości natury w procesie przeistoczeń gatunków i pokoleń w odwiecznej dążności ku doskonaleniu się jej tworów.

CI ZNAJĄ JUŻ „CZERWONY RAJ".

Żołnierze z zajętych swego czasu przez Bolszewików obszarów, którzy zostali zmuszeni do służby w Czerwonej Armii i po nader niedostatecznym wyszkoleniu wojskowym użyci do akcji na froncie — skorzystali z pierwszej nadarzającej się sposobności wydostania się z „błogosławieństwa" bojowników spod sztandaru pięcioramiennej gwiazdy; Widzimy ich właśnie w drodze przez niemieckie linie obronne.

Nauczyli się oni już nadto dostatecznie oceniać wszelakie „dobro" bolszewickiego terroru i czerwonej wolności.

To, czego dostąpili ci wszyscy, którzy zawierzyli Sowietom — pokazują nam obecnie własne sprawozdania prasy szwajcarskiej: 3600 Polaków, członków 8 i 9 dywizji Armii Krajowej internowanych zostało w obozie koncentracyjnym w Majdanku Lubelskim.



„STARY TEATR" — KRAKÓW



Po dłuższej przerwie ożyła znowu scena „Starego Teatru". Artyści z Warszawy, Lwowa i Krakowa, przebywający na terenie naszego miasta, utworzyli „Zrzeszenie Aktorów Scen Polskich" i przystąpili do pracy: — rozpoczynając w dniu 18 listopada br. sezon jesienno-zimowy bardzo udaną premierą dramatu Tadeusza Rittnera pt. „W małym domku", z udziałem: Chodakowskiej, Jaraczówny, Plucińskiej, Porębskiej, Chmielewskiego, Grolickiego, Jankowskiego, Szalawskiego, Kassowskiego i Liedke. Na zdjęciu: Scena końcowa pierwszego aktu „W małym domku".

Fot. Borek

O ZYCHU GÓRALU

Splunął Zych aże pod komin i nagle wstoł z ławy. Aby znów spożyć w okienko, choć i tak wiedział kaj tam na dworze jest, bo i od ławy beło widać.

Ano, jak przedtem. Wiaterecek hulał ze śnigiem, ze hej! Bozycku, Bozycku, nic nie widać dokoluśka, nic. Ino biołe chmury tańcujom i tańcujom.

Trzi dni siedzioł i lezoł Zych na ławie. Trzi dni. Trzi dni słuchoł, kaj tam wiaterecek za ścianom wypłakuje, dumoł, wścikoł sie, pod komin spluwoł. Cekoł. A tu nic. Wiater, jakby sie uwzioł. Śmioł sie ino za ścianom i śmioł. Z kogo? Juści wyraźnie z niego, Zycha! Wiedzioł ci ano psiajucha, ze marł tu z tęsknice, tak barz kcioł podreptać w góry, choćby ino kawołecek. A wiater nie doł. Tańcował i tańcował z wisieluchem, lebo tez djabli wiedzom z kim. I śmioł sie za ścianom, hej, jak sie śmioł! Z kogo? Juści — ze Zycha!

— Hu, hu, hu, hu! Hi, hi, hi, hi!

— Pocekej! — Wrzasnoł Zych — pocekej! — I pogroził pieńściom wiatrowi bez okienecko.

I zaroz sie wścik.

Portki podciongnoł do góry, wygładzieł piknie barz, ścisnoł pasem. Wyciongnoł spod ławy słumiochy, włozeł na kierpce, aby mu ta ciepli beło. I zaroz mu sie na wnontrzu odminiło. Fyrtnoł se nózkami roz, fyrtnoł drugi, a jak fyrtnoł trzeci, to aze pod powałe, choć mu sie ta juz na siedemdziesionty czworty obróciło. A jak zaciskoł kozuch rzemyckiem, wlazła do izby jego baba, coto jom nazywali Brodatom Marynom. Przilazła ze stajni ze skopkiem mlika. Zaroz zmiarkowała, co Zych sie wybiro.

— Kaj idzies? — pado.

— Dzie mi sie kce.

— Laboga, Zych, dyć spoźryj, hań tam na polu wszyćkie djobły tańcujom.

— Niek ta tańcujom.

— A dyć — pado baba dali — nie chodź. Ostań haw w izbie.

Poziro Zych na babe. — Ostań haw w izbie — myśli se. — Hale, ostań! Przi kim? Cy to Brodato Maryna moze Jadwisia, gładko na gembie, piekno? A łagodniusko, kiej baranecek? O, hej, nie, dosyćka nie!"

Oparł sie Zych o piec, duma. „Ot, ukraje se ciek [illegible] spyrki, baba z pyskiem leci: „znów zres, stary skopie!" Abo i ożóg złapie. O, ta Brodato Maryna i zimiocków załuje tyz, hej, załuje. „Nic tu ni mos, dziadu — pado — wsyćko to moje — pado. — Loboga, zem sie tyz do tych ślyrech morgów przyzenił, zem sie tyz! Jadwisia ni miała nic, ale jakotyz gładko beła na gembie, jakotyz. I dobro, kiej aniołecek, hej, kiej aniołecek".

— Uwozej se Zych — pado Maryna — jesce śnieżycom spotknies.

— A niek — pado Zych.

Poseł.

Zaroz za progiem wpod w zaspe. Wygramolił sie, idzie. Wiater kole niego tańcowoł, sypoł ci mu śnig w ocy, gembe, za kark ci tyz ciapnoł cosi, ale to nic.

— Sypej se — pado Zych — sypej.

No i widać rozeźlił sie ten wiater. Bo roz i drugi ciepnoł Zychem w zaspe leciutko, kiej źdźiebkiem. A po tem trzeci i cworty. Zych sie dźwigoł, seł dali. Nie widzioł nic, bo hań całe chmury śnigu sypały sie na niego, ale seł.

— Coz — pogadywoł se — bede siedzioł w chałupie? Dyć zdechbem w trzi migi, łaboga! Pewnie. Daleko ta tyz seł nie bede. Spoźre se ino na Osypowski las i wróce sie zaroz. Dyć to ino kawołecek. Smreki se tyz pieknie sumiom teroz, hej!

Seł Zych, seł i juz wiedzioł ze zmylił se droge. To bez tyn śnig. Tańcowoł haw i tańcowoł od nieba do ziemi z tym wiatrem i tańcowoł.

— A niekta — pado Zych — niekta. Przecie i tak lepi haw jak w chołpie z Brodatom Marynom. Dyć sie jyj łozór nie zamyko. Ino skrzypi wsze i wsze kiej nienasmarowane dźwierze. Od rana, do wieczora. A i w nocy, baba, psiakrew, śpi i gada. Ot. Cy to Brodato Maryna Jadwisia? Łoboga, nie.

I dalej seł.

Nagle — zawyło cosik kole niego łokrutecnie jak wszyscy piekielnicy naroz. Zasumiało, zatańcowało. I wtedy użroł cosik tak na trzi metry przed sobom dwa wielgie zółte ślepia — sunęły równiuśko, zaroz bedom tu.

— Śnizyca — sepnoł se Zych. Cosi mu ta roz i drugi zombki o siebie klapły. Ale zaroz potem wrzasnął:

— Nie boje sie! Nie!

— Nieeeeee? — zajęcała przedługo śnizyca — nieeeeee?

— Nie! — Pado Zych — nie!!

Wtedy złapało go cosik w pół, zakrenciło w kółecko i ciepło, jak piórecko, kajsi w świat.

E. Drzewuska

KĄCIK BRIDŻOWY NR 4

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Analogicznie: odzywka po pasie (np. A — pas, X — karo, B — pas, Y — pas, A — pik) — jest mniej obowiązująca i wskazuje na jakieś braki karty (w naszym przykładzie gracza A), które uniemożliwiły dobrowolną odzywkę, np. dobra karta ale brak asa. Wracając do nieprzymuszonego podtrzymania — zdarzyć się może, że jest się w posiadaniu doskonałej karty, ale brakuje proponowanego przez partnera koloru i żadnego własnego wyraźnego (w ilości 5 sztuk) koloru. Można wówczas siłę swych „boków" zaakcentować, anonsując „bez atu". Posiadając po odzywce partnera kolor wyższy i tym samym wygodniejszy do uzyskania dogranej (a więc piki i kiery, przy których 4 dogrywa — po karach lub treflach, gdzie dopiero 5 robi manszę) — należy kolor taki zalicytować nawet jeśli proponowany kolor w zasadzie się zgadza. Jeśli partner tego wyższego koloru nie przyjmie i wróci na swój niższy — można wtedy dopiero w tym kolorze podwyższyć grę i tym samym zaakcentować, że ma się i w nim pomoc.

Jeśli się ma 2 kolory do wyboru (po 5 sztuk) licytuje się najpierw swój wyższy kolor (piki przed kierami), aby jeśli licytacja się rozwinie i będzie się miało jeszcze raz głos — zaanonsować następnie swój drugi (niższy) kolor — i dać w ten sposób partnerowi możność wyboru koloru, bardziej mu odpowiadającego, bez zmuszania go do podnoszenia gry.

B e z a t u licytuje się, jeśli się ma we wszystkich kolorach dobre karty i żadnego dość długiego koloru na zapowiedzenie gry atutowej.

Ważna tu jest sprawa t. zw. „przetrzymań" każdego koloru t. zn. posiadanie pewnych lew, umożliwiających po ataku przeciwników (pierwszy zagrywa przecież zawsze kontrpartner) — dojście do ręki i wygranie swoich lew.

Trudno wymagać silnie obsadzonych wszystkich 4 kolorów i dlatego bez przetrzymania **w jednym kolorze** można zalicytować bez atu jedynie wówczas, jeśli nie było uprzednio anonsu tego koloru ze strony przeciwnej.

Jednakże zapowiadać bez atu, jak również podtrzymywać na bez atu po licytacji koloru przez przeciwników można jedynie, mając w tym kolorze silne i bezapelacyjne przetrzymania (np. as, król z damą, itp.).

Mając pomoc we wszystkich kolorach, należy podnieść proponowaną przez partnera grę bezatutową — mając zaś wyraźny długi kolor — należy go zalicytować, przy tym jeśli jest on naprawdę dobry i niemal wystarczający do samodzielnej odzywki — należy „przeskoczyć" o punkt i zaanonsować 3 w tym kolorze. Wówczas partner, licytujący bez atu zdecyduje, czy wrócić na trzy bez atu, czy też próbować „dograć" przy atucie tego koloru.

Zwykle po karach i treflach wygodniej wrócić na 3 bez atu (2 lewy różnicy w ilości, potrzebnej do dogrania) — po kierach lub pikach może lepiej pozostać przy grze kolorowej (gra atutowa zawsze jest łatwiejsza i mniej niebezpieczna od bezatutowej, — a tu tylko 1 lewa różnicy w ilości lew niezbędnych do osiągnięcia manszy).

Po skończonej licytacji następuje drugi etap gry, mianowicie **pierwsze wyjście**. Wychodzi zawsze kontrpartner siedzący po lewej stronie rozgrywającego (jeśli A rozgrywa — wychodzi X) dopiero po tym wyjściu karty partnera rozgrywającego (B) zostaną odkryte na stole i dlatego ten pierwszy atak X-a nazywamy „ślepym" wyjściem. Stąd jego trudność: opiera się owo wyjście jedynie na domysłach, wypływających z licytacji i na zasadzie znajomości tylko swoich kart. Późniejsza gra odbywa się już przy odkrytych kartach na stole, każdemu z kontrpartnerów znane są już 26 kart, zatem zadanie „przeszkadzania" rozgrywającemu jest już cokolwiek łatwiejsze.

S p r a w a ślepego wyjścia nie przedstawia się zbyt trudno, jeśli partner wychodzącego licytował kolor: należy wówczas wyjść **najstarszą** kartą tego koloru.

Trudniej — jeśli licytacji ze strony partnera nie było. Należy dążyć do tego, aby, nie psując niczego, czyli nie wyrabiając rozgrywającemu koloru i jednocześnie nie tracąc tempa gry — obejrzeć karty dziadka (13 kart odkrytych na stole nazywamy „dziadkiem").

Dobrze jest zatem wyjść jakąś pewną lewą. Najlepsze będzie wyjście **królem** koloru, w którym się ma asa i króla. Wyjście asem przy nie posiadaniu króla jest złe, gdyż częstokroć „wyrabia" (zwalnia) rozgrywającemu ten kolor. Jeśli się nie ma asa z królem, można wyjść królem, jeśli się go ma z damą i waletem, jest to przygotowanie sobie lew, przez stracenie asa. Dobre jest wyjście **najstarszą** kartą koloru sekwensowego tj. takiego, który ma co najmniej trzy kolejne według starszeństwa karty (np. dama, walet, 10, 7 lub 10, 9, 8, 6, 3). Kolor posiadający tylko 2 kolejne karty nazywamy „wiązanym" (dama, walet, 7, 4 lub 10, 9, 6, 4). Wyjście starszą kartą wiązanych jest już gorsze, ale możliwe. W każdym razie nie należy zapominać o zasadzie, że wyjście honorem, oznacza posiadanie co najmniej jednej (jeśli to były karty wiązane), a może i dwu (jeśli to sekwens) kolejno niższych kart i partner musi rozumieć, że skoro się wyszło np. waletem, to jest się w posiadaniu co najmniej 10-ki, a może i 9-ki.

Nie wolno wychodzić spod króla (młódką koloru, w którym się ma króla), ani spod asa. W ogóle wychodzenie spod figur nie jest wskazane. Najmniej szkodliwe będzie może wyjście spod czwartej damy (dama i 3 młódki) lub spod czwartego waleta, w żadnym jednak razie spod króla lub asa. Można wyjść młódką długiego koloru (longer) a jeśli nie ma żadnego wyraźnego dobrego wyjścia, to może najlepiej wyjść obojętną kartą koloru, w którym się ma kilka młódek bez figur.

Przy odkrytych kartach dziadka wychodzi się z reguły **pod mocny** niepełny kolor dziadka. Dotyczy to oczywiście gracza siedzącego **przed** dziadkiem (jeśli A — rozgrywa, karty B są dziadkiem, X — wychodzi pod mocne karty B). Gracz siedzący za dziadkiem (Y) powinien wychodzić **pod** mocne karty rozgrywającego (A), a ponieważ ich nie zna i orientuje się tylko według odkrytych kart B, wychodzi on kolorem, który u dziadka (B) jest najsłabszy, słusznie rozumując, że te kolory w ręce A są mocne, które są słabe u dziadka (B).

CZĘŚĆ OGÓLNA

Problem Nr 4 (Empp)

B: ♠ A.K.7.5.4. ♥ A.K. ♦ A.7.4. ♣ A.5.2.

X: ♠ D.W.10.9.6.3. ♥ 2. ♦ K.W.3. ♣ K.W.10.

Y: ♠ 8.2. ♥ 5.4. ♦ D.9.8.5.2 ♣ D.9.8.3.

A: ♠ — ♥ D.W.10.9.8.7.6.3. ♦ 10.6. ♣ 7.6.4.

A rozgrywa kiery i robi szlema! X atakuje damą pik. Podać przebieg rozgrywki.

Rozwiązanie problemu Nr 3:

	X	B	Y	A
1. wyjście:	pik W	pik 3	pik 2	pik K
2. „	kier 5	kier 9	kier 6	kier 3
3. „	pik 4	pik As	pik 8	karo 3
4. „	kier 8	kier 2	pik 9	kier 10
5. „	pik 5	karo 2	pik D	kier As
6. „	pik 6	karo 5	trefl 2	kier K
7. „	pik 7	trefl 3	karo 4	kier D
8. „	pik 10	trefl 9	trefl 7	kier W
9. „	trefl 4	trefl D	karo 9	kier 7
10. „	karo 6	karo As	karo 10	karo W
11. „	karo 8	karo 7	karo K	kier 4
12. „		trefl As		
13. „		karo D		

MELANCHOLIA

Tak wyleciały te myśli nagle
jakby kto mole z futra wytrzepał.
... w te lata niosą mnie wspomnień żagle
gdy się dziewczęciem było — jak rzepa.
Dziś? Chyba w świetle różowych lamp
od biedy: Balzac lub pseudowamp...

... tu się wypukłość miało, tam dołek...
pulchność na całej ciała przestrzeni...
twarzyczkę śliczną jak ten aniołek...
Nawet się człowiek umiał rumienić!
Dziś? Choć gdzieś pieprzny ktoś palnie wic
człowiek udaje... chciałby... i — nic!

... w głowie zielono było i — dobrze.
Na ustach tylko gzy i swawole.
I chociaż życie żgało niegorzej
niż dziś — nic jakoś nie chciało boleć!
A teraz w głowie rozum — i smęt
a wszystko boli do samych pięt.

Dawniej chłopaków na schwał zastępy
w parku — pod oknem — w szkole — w teatrze —
i każdy żebrał... włazil na pięty
ażeby na mnie z bliska choć patrzeć!
I wszyscy chcieli... A ja — nie! Cóż...
Dziś chcę — gdy oni nie mogą już.

Hej, te bukiety! (miotła — to atom...)
Lub te pomadki! (człek jadł przez tydzień)
Gniewne człek słowa rzucał tym kwiatom,
pomadek nie chciał jeść... ani widzieć...
Dziś? Nie zaczepi (choć ciemno jest)
nawet tak zwany kulawy pies...

Już biust wydyma się — tylko żalem...
Dawno rumieńce zbladły na buzi...
a przecież mogło być tak wspaniale
— gdyby z rozumem się człek nie spóźnił —
że mógł wypchany szczęściem po czub
czekać z ironią na bliski grób.

Życie jest puste — jak w sklepie puszka...
w tyle — nic! z przodu — ni krzty nadziei!
I w nocy chyba już tylko pluskwa
miękkie posłanie ze mną podzieli
i mej jędrności zapragnie zgliszcz......
Ha! z kim pościelesz sobie — z tym śpisz!

Krysta Opalińska

ZA PÓŹNO!

Pytał mąż żony, kiedy już w śmiertelne łoże
legła, czy go z kim kiedy nie zdradziła może.
— Za późno, jękła żona — mężu mój jedyny,
jak zdążę ich wyliczyć w dwie czy trzy godziny?

MODLITWA O DOBRYCH PRZYJACIÓŁ

Dudni woda dudni
w cembrowanej studni.
Wypić wódkę łatwo,
zapłacić ją trudniej.
Jakże będę płacił,
gdym się nie wzbogacił?
Stwórz mi panie Boże
bogatych przyjaciół.
Daj im stos „górali",
Spraw, by mnie spotkali
— Jazda pod Arkady:
— Wódka i tak dalej!!!

SKOK W WIECZNOŚĆ

Wiem, we wszechświata jest ogrodzie
glob nasz niewielką kalarepką
Cóż z tego? I tak chodzę co dzień
po Plantach z dumą w sobie krzepką.

Bo choć w wszechbytu przeogromie
dosyć mizerne ze mnie prosię.
W Krakowie częściej mówią o mnie
niż o niejednej z gwiazd w Kosmosie.

I myślę, że choć zgasną słońca
i ziemia oraz życie na niej,
w nicości będzie lśnić bez końca
fajerwerk mej megalomanii.

KUPUJCIE PÓKI NA SKŁADZIE...

Bronisław nie ma piątej klepki,
co jednak w życiu mu nie szkodzi:
zarabia sobie nienajgorzej,
zajada bułki z szynką co dzień.

Z Kazia jest kretyn nad kretyny
ma mózg o wadze ćwierci deka
a jednak widzą w nim dziewczyny
idealnego wzór człowieka.

O Władku całe miasto szepce
że szczęściarz — choć jak but jest głupi.
Cóż mi po mojej piątej klepce?
Odetchnę, kiedy ją kto kupi...

POCHWAŁA BRAKU ZĘBÓW

Autorce „Pochwały staropanieństwa"

Jakie to szczęście i tak dalej,
że zębów w gębie nie mam wcale:
Nie drżę o śnieżność już ich bieli
gdy jem borówki albo palę...

I drżeć nie muszę też z powodu
Spożycia kilku porcyj lodów.
Szkliwo na ząbku mi nie strzeli
ni od gorąca, ni od chłodu.

Choć ziąb, wichura, czy ulewa
nie puchnę z prawa ani z lewa
a jakom z starych ksiąg wyczytał
nie będę w piekle. — Czym bym zgrzytał?

Jeśli zaś ugryźć chcę panienkę
w paluszek, mogę przecież także!
W tak wzniosłym celu sztuczną szczękę
pożyczysz chyba drogi szwagrze?

Wujcio z Komina



— Tatusiu, tam w przedpokoju jest jakiś pan, który chce mówić z panem domu.
— Zaprowadź go do mamy.

Rys. J. Paluch — Kraków

*

— Ach gdybym wiedziała jak mego męża ukarać za jego niewierność?!

— Oddaj mu pięknem za nadobne.

— Próbowałam już nieraz, ale go to zupełnie nie wzrusza.

*

— Czy m y ś l i s z, że w starej wdowie można się też zakochać?

— To zależy od tego ile jej mąż zostawił.

*

— Cóżeś taki wesół?

— Wczoraj rozpocząłem miodowe miesiące.

— Jakto? Przecież od ośmiu lat już jesteś żonaty!

— Tak, ale moja żona po raz pierwszy wyjechała na letnisko.

*

— Wszakże mi powiedziałeś, że pan Jerzy jest bogatym.

— Nie tego nie powiedziałem, powiedziałem tylko że ma więcej pieniędzy jak rozumu.

*

— Gdy mąż chodził dawniej na polowanie, nigdy mi nic nie przyniósł do domu. A dziś, odkąd zaczął jeździć na motocyklu, zawsze coś przyniesie, to kurę, to gęś lub kaczkę, którą na śmierć przejedzie.

*

— Doktorze, po każdym posiłku ogarnia mię nieprzezwyciężona senność, co czynić, aby nie zasnąć przy stole?

— Położyć się do łóżka.

*

— Chcąc uniknąć przejechania pańskiej teściowej, musiałem zmiażdżyć wasze kurczę.

— Ano, toteż muszę panu powiedzieć, że z pana podwójny niezgraba.

*

— Jakiż tytuł nosi pański obraz?

— „Modlitwa dziewicy".

— O cóż się ona modli?

— Aby jej wizerunek został jak najprędzej sprzedany.

*

— Gdzie się właściwie ten młody K. poznał ze swoją małżonką obecną?

— O ile słyszałem na jakiejś górskiej wycieczce.

— Acha, a więc to katastrofa w górach.

*

— A czy nie jest płochliwy ten koń?

— Ach, bynajmniej. Od piętnastu lat sypia sam jeden w stajni.

*

— Ten kelner tak się na ciebie patrzy jakbyś mu nie zapłacił za kawę.

— Ja się zaś tak na niego patrzę, jakbym mu zapłacił.



Film na drodze rozwoju. Wiener Illustrierte

KARYKATURA POLITYCZNA



Zima do Eisenhowera: — Czy nie przyszłam zawcześnie?... Erik-Schearl

NOWOCZESNE ZABAWKI

Dostosowanie wyrobów artystycznych do pojęć dzieci, to całkiem nowa dziedzina sztuki, przy której narodzinach główną rolę odegrała psychologia dziecka. Dziecko przechodzi w swoim rozwoju stadia, które odpowiadają poszczególnym stadiom rozwojowym ludzkości. A więc tak rysunek jak i pojęcie o sztuce u dziecka będzie, im dziecko młodsze, tym bardziej zbliżone do pierwotności. Najpierw będą to kształty jakby z gruba tylko ociosane, bez szczegółów, potem coraz to będą się wyłaniać szczegóły, które dziecko najpierw zaobserwuje, a w końcu będzie mowa dopiero o ujęciu całości kształtu wraz z szczegółami. To samo co do kolorów. Dziecko nie odróżnia początkowo wszystkich kolorów i ma zamiłowanie do jaskrawych, krzyczących barw.

Oczywiście nie każda wytwórnia zabawek dla dzieci stosuje się do wskazówek, jakie daje nam psychologia dziecka. Mamy jeszcze wiele zabawek, które nie tylko pod względem artystycznego wykonania, ale również dostosowania do „pojemności" umysłu dziecięcego nie stoją na wysokości zadania. Na zdjęciach widzimy wzory wiedeńskiej fabryki zabawek, których „styl" i wykonanie odpowiadają pojęciom dzieci. Nowoczesność tych zabawek nie na tym polega, że są wykonane przez nowoczesnych artystów, że są krzykiem mody, że odpowiadają prądom panującym we współczesnej sztuce. Tutaj jest odwrotnie: nowoczesna sztuka czerpiąc wzory z dziecięcych wyobrażeń stworzyła nowy kierunek artystyczny zwany „dadaizmem".





Lalki dla całkiem małych dzieci, dla których umysłów szczegóły postaci nie są jeszcze dostępne. Lalki są wykonane z drzewa, prostą robotą tokarską, co zapewnia wyrobom taniość i trwałość.



Oryginalne ujęcie postaci ludzkich w formach dostosowanych do wyobrażeń nieco starszych dzieci. Obok stoją „drzewa".

Fot. Eurofot



Na lewo: Dama z bukietem w ręku.



Domki wiejskie z lalkami w strojach ludowych i stolikiem z zastawą. Przy domku drzewa owocowe.